Nr. 9. **Poznań, dnia 2-go marca 1913** **Rok XVII.**

Abonament wynosi kwartalnie na poczcie . 2,— z odnoszeniem do domu . . . 2,12 pod opaską . . 3,50

PRACA

Tygodnik polityczny i literacki, illustrowany.

Adres Redakcyi: Poznań, ul. Rycerska Nr 38 — Telefon Nr 3097. — OGŁOSZENIA: od wiersza drobnego 30 fen.

ZBROJENIA.



Ile razy na widnokręgu politycznym ukażą się chmury zapowiadające możliwą nawałnicę w postaci wojny europejskiej — tyle razy paroksyzm zbrojeń ogarnia państwa europejskie.

Obecnie wypadki na Bałkanie i ich reakcya na stosunki międzymocarstwowe znowu wywołały gorączkę zbrojeń.

Licytacyę na tem polu — jak zwykle — rozpoczęły Niemcy, zapowiadając nowe powiększenie sił zbrojnych, co automatycznie wywołało podobną zapowiedź ze strony Francyi.

Tylko patrzeć a także inne mocarstwa wstąpią w te ślady.

Najciekawsza jednak, że żadne państwo nie zbroi się dlatego, aby rozpocząć wojnę, lecz w tym celu, aby zachować pokój.

Si vis pacem — para bellum. Gdy chcesz zachować pokój — gotuj się do wojny. Starorzymska ta zasada iście zgrzybiałym się cieszy wiekiem. Mimo to i dzisiaj we wieku pary i elektryczności nic nie straciła ze swej aktualności.

Tak tedy koszta zbrojeń należy uważać niejako za premie płacone celem zachowania pokoju w myśl wyżej zaznaczonej zasady.

Czy jednak wysokość tych premij stoi w jako tako rozsądnym stosunku do wyniku asekuracyi, do zabezpieczonego objektu — to jest kwestyą bardzo a bardzo wątpliwą.

Koszta zbrojeń bowiem wynoszą w Europie całej okrągło licząc 8 miliardów marek rocznie. Tyle kosztuje utrzymanie wojsk i flot europejskich, nie licząc strat, jakie ponosi życie gospodarcze przez to, że służba wojskowa więzi ustawicznie około 4 milionów zdrowych i silnych mężczyzn w koszarach i wstrzymuje ich od produktywnej pracy.

Ponieważ wojny europejskie zdarzają się przeciętnie raz na lat 30, przeto przygotowania do wojny europejskiej kosztują 240 miliardów marek.

Są to ofiary tak olbrzymie, iż w najśmielszych marzeniach pomyśleć się nie da, aby jakibądź sukces na polu wojennem chociaż w drobnej części zdołał zrównoważyć te straty kolosalne.

Premie zresztą, które płacimy celem zachowania pokoju, nie kończą się na wyżej zaznaczonych ofiarach w brzęczącej monecie i pod postacią unieruchomienia siły produktywnej 4 milionów młodych obywateli. Trzeba do nich doliczyć jeszcze ubytek, jaki majątek narodowy ponosi wskutek przesileń finansowych, wstrząsających w czasach niespokojnych raz w raz życiem gospodarczem Europy; należy baczyć na straty, o jakie Europę przyprawia konkurencya innych części świata, przedewszystkiem Ameryki, nie znających militaryzmu; należy uwzględnić jeszcze i tę ważną okoliczność, że spowodowana zbrojeniami niepewność położenia politycznego w Europie, mogącej każdej chwili rozpłomienić się bezprzykładną w historyi wojną, paraliżuje ducha przedsiębiorczego społeczeństw europejskich.

Wszystko to odbija się jaknajfatalniej na życiu gospodarczem Europy i utrudnia niesłychanie konkurencyę jej produkcyi z produkcyą Ameryki np., który to kraj w bez porównania lżejszych i szczęśliwszych rozwija się warunkach.

Dokładne obliczenia wykazały bowiem, że Ameryka na polu produkcyi o 10 proc. korzystniejsze znachodzi u siebie warunki aniżeli Europa, niszczona systematycznie i niemiłosiernie olbrzymiemi podatkami pobieranemi na cele wojskowe i marynarkowe.

Oto jeden z najgłówniejszych powodów, dlaczego handel i przemysł amerykański coraz liczniejsze zdobywa rynki zbytu i coraz niebezpieczniejszym się staje dla Europy konkurentem.

Z tego punktu widzenia patrząc na sprawy, trzeba uznać ustawiczne pomnażanie i tak już nieznośnych kosztów zbrojeń, za prawdziwą zbrodnię ekonomiczną i to tem większą, o ile wojna, chociażby najszczęśliwsza, ani w części tych strat powetować nie zdoła, a pokój w dzisiejszych czasach skuteczniej innemi środkami utrzymaćby można.

Największy czas, aby sobie ludzkość uprzytomniła tę prawdę, że człowiek i ludzkość cała istnieje wyłącznie tylko i jedynie z eksploatacyi skorupy ziemskiej, którą zamieszkuje. Zatem wszelkie polepszenie materyalnego bytu narodów jedynie i wyłącznie od lepszej eksploatacyi ziemi zawisło. To jednak przy o-

becnym stanie cywilizacyi zależne jest od kapitału, inteligencyi i pracy.

Wojny wszakże niszczą zarówno kapitał, jak ludzi, którzy są reprezentantami inteligencyi i pracy. Jasna przeto rzecz, że każda wojna musi pogarszać los ludzi wogóle. Cóż dopiero mówić o warstwach uboższych szczególniej na skutki wojny narażonych i więcej niż inne odczuwających przedwstępne dreszcze zbliżających się, lub zgoła tylko możliwych kataklizmów?



W sprawie solidarności Koła

zamieszcza „Dziennik Pozn." artykuł, nadesłany mu ze strony bardzo poważnej, w którym z jednej strony zaakcentowano bezwzględną potrzebę absolutnej solidarności Kół poselskich, z drugiej natomiast otworzono furtkę czyniącą tę solidarność do pewnego stopnia iluzoryczną.

Autor artykułu staje na stanowisku, że interesy ludności robotniczej na G. Śląsku tak dalece różnią się od interesów ludności przeważnie rolniczej Księstwa i Prus, iż kompromis pomiędzy temi dzielnicami na gruncie polityki gospodarczej na dalszą metę zdaje się być niemożliwy.

Ponieważ zaś — według autora — conditio sine qua non znaczenia politycznego Koła może być tylko solidarność, a zasada ta we wysokiej mierze rzekomo sprzeciwia się interesom ludności robotniczej śląskiej i stanowisko posłów górnośląskich wobec ich wyborców nadzwyczaj komplikuje, przeto radzi, aby posłowie polscy ze Śląska przestali być członkami Koła, a stali się jego hospitantami tylko. W ten sposób uratowanoby zasadę solidarności dla Koła polskiego, a stworzonoby dla posłów górnośląskich możność w pewnych kwestyach odmienne niż Koło zajmować stanowisko i bez pogwałcenia zasady solidarności — którąby dla nich nie istniała — głosować jakby tego specyalne interesy ich wyborców wymagały.

Czy projekt ten ma widoki powodzenia, nad tem zastanawiać się nie będziemy. Wskażemy tylko na to, że podobnie jak ludność robotnicza śląska i szerokie warstwy naszej ludności robotniczej w Księstwie i Prusach Król. sądzą, iż polityka gospodarcza Koła, mianowicie o ile ona dotyczy ceł, nie zgadza się z ich istotnemi interesami.

Widzieliśmy przecie, że z trzech posłów, którzy złamali zasadę solidarności, tylko jeden wybrany był na Śląsku. Zatem nie wykluczona byłaby możliwość, że z chwilą stworzenia instytucyi hospitantów Koła, także w Księstwie i Prusach ruszy się agitacya, aby również i posłowie w tych dzielnicach wybrani mogli należeć do owych hospitantów, a nie do związanego zasadą solidarności Koła. To zaś właśnie miałoby ten skutek, że Koło polskie uszczupliłoby się liczebnie tak dalece, iż wpływ i znaczenie jego polityczne, o zachowanie czego przecież autorowi artykułu chodzi, zmalałyby bardzo.

Sprawa solidarności szczególnie w kwestyach ekonomicznych jest bardzo trudna. Te sprawy bowiem nie rozpatruje się ze stanowiska zasad, lecz ze stanowiska oportunistycznego. Co dla jednych jest korzystne, dla drugich może być szkodliwe. I trudno nawet żądać od ludzi, by to, co uważają za swoją korzyść, poświęcali dla korzyści innych, chociażby nawet ci inni byli we większości. Sprzeciwia się temu egoizm ludzki.

Kto zatem jest tego przekonania, że na punkcie ceł agrarnych interes istotny ludności przemysłowej na Śląsku kłóci się z interesem ludności Księstwa i Prus Królewskich, ten logicznie będzie dążył do tego, aby poszkodowanej ludności dać możność uwydatnienia i obrony swych odrębnych i przeciwnych interesów.

Inaczej zapatrywać się będą na sprawę ci, którzy to, co przeciętny robotnik przemysłowy ma sobie za krzywdę i szkodę istotną, uważają tylko za szkodę pozorną i są przekonani, że w rzeczywistości i robotnik przemysłowy pośrednio korzysta z tego, co rolnikom bezpośrednią korzyść przynosi.

Nie chodzi tu wcale o to, po czyjej stronie słuszność. Wiadoma przecież, że w życiu i polityce nie rozstrzyga tyle słuszność i prawda, ile wyobrażenie, jakie sobie ludzie o słuszności pewnej sprawy wyrobili.

Ponieważ zaś sentyment ludności robotniczej przemysłowej faktycznie pod wpływem sugestyi agitacyi socyalistycznej zwraca się przeciw polityce celnej, więc zrozumiałą jest rzeczą, że odzywają się głosy, by posłom robotniczym przyznać większą swobodę głosowania.

Zachodzi jednak pytanie, w jakiej formie i w jakich granicach im tę swobodę wotowania zapewnić.

Projekt podany w „Dzienniku Pozn." wydaje się nam zbyt radykalny.

Nie moglibyśmy się po jego realizacyi spodziewać dodatnich skutków ani w dziedzinie politycznej ani przedewszystkiem w dziedzinie narodowej.

Osłabiłoby to zarówno znaczenie Koła na gruncie parlamentu, jako też jego powagę w kraju. Przedewszystkiem zaś rozluźniłoby spójnię łączącą Księstwo, Prusy i Śląsk w jedną polityczną i narodową całość.

Więcej do przekonania przemawia nam inny projekt, który w pewnych bardzo ważnych przypadkach zamierza przyznać posłom robotniczym prawo odmiennego głosowania i to na podstawie specyalnego zezwolenia ze strony bardzo znacznej większości członków Koła.

Tak czy owak — zasada solidarności na tych inowacyach źle wyjdzie. Skoro raz dozwolone będą wyjątki od powszechnie obowięzującej reguły, nie ma pewności, że posłowie poddadzą się werdyktowi Koła. Kto będzie chciał wyłamać się z pod posłuszeństwa, wyłamie się z daleko mniejszemi skrupułami, niż obecnie.

Wielu wśród nas z obawą tylko patrzeć będzie na wszelkie próby osłabiania zasady solidarności, i to nietylko ze względu na niepożądane następstwa, jakie to wyda w dziedzinie wpływów politycznych i znaczenia Koła w parlamencie, lecz niemal więcej jeszcze ze względu na skutki, jakie przykład Koła w tej mierze wywrze na zasadę solidarności obowięzującej społeczeństwo we wszystkich swych publicznych na zewnątrz skierowanych działaniach.

Z drugiej jednak strony należy uznać i zrozumieć całą trudność sytuacyi i życzyć, aby powołane ku temu czynniki zdołały znaleźć najkorzystniejszą drogę wyjścia z tego dylematu.

* * *

W chwili, gdy zeszyt niniejszy idzie na maszynę, nadchodzi wiadomość z Berlina, iż Koło polskie znaczną większością głosów odrzuciło wnioski zmierzające do osłabienia zasady solidarności. Zasada ta zatem obowięzuje w całej pełni i wszystkie odmienne projekty stały się wskutek tego bezprzedmiotowe.

Pamiętaj, o dowcipnisiu, że dowcip jest jako błyskawica, nie zaś jako szkapa na karuzeli, na której po całych dniach jeździć można wkoło.

Podobizny dworów polskich w W. Księstwie Poznańskiem.

(Ciąg dalszy.)



Fot. L. Durczykiewicz w Czempiniu.
Przysieka, powiat śmigielski.

Zamieszczamy w dalszym ciągu cztery podobizny dworów, które są pomniejszonemi reprodukcyami wspaniałych ilustracyj umieszczonych w luksusowem dziele p. L. Durczykiewiczo z Czempinia p. t. „Dwory Polskie w Wielkiem Księstwie Poznańskiem". Nakładem p. L. Durczykiewicza, czcionkami drukarni „Pracy".

Przysieka w powiecie śmigielskim, własność hr. Zygmunta z Bytynia Kurnatowskiego. Majętność ta należała w 17 wieku do Cystersów. W roku 1796 nabyli Przysiekę hrabiowie z Sienna Potworowscy, właściciele dóbr kobylnickich, położonych w powiecie kościańskim. Późniejszym właścicielem tego majątku był hr. Edward Potworowski. Wskutek przedwczesnej śmierci jego syna Romana przeszła Przysieka na własność hr. Zygmunta z Bytynia Kurnatowskiego, syna marszałka Stanisława Kurnatowskiego z Pożarowa i Eleonory z hrabiów Potworowskich. Murowany dwór w stylu barokowym zbudowany został w wieku 17. przez Cystersów, którzy naokoło niego założyli park obszerny. Podczas wojen szwedzkich Przysieka dostarczała ówczesnej fortecy kościańskiej wody źródlanej podziemnemi kanałami.

Rusko w powiecie jarocińskim, własność Zygmunta Czarneckiego. Majątek ten, dawniejsza siedziba rodziny Zarembów, przeszedł jako wiano w ręce Objezierskich; Józef Objezierski sprzedał go w roku 1870 Zygmuntowi hr. Czarneckiemu, który oddając Rusko w roku 1897 najmłodszemu synowi Zygmuntowi, obecnemu właścicielowi, przeniósł się do drugiego syna Józefa do Dobrzycy, gdzie pełne zasług i pracy zakończył życie dnia 7-go czerwca 1908 r., licząc lat 85. Dzisiejszy pałac wybudował Zygmunt hr. Czarnecki w roku 1876, gdy oddawał Gogolewo, rodzinny swój majątek, najstarszemu synowi Wiktorowi hr. Czarneckiemu. Wspaniały pałac, wzniesiony w ślicznym stylu renesansowym, zawiera między innemi wielką bibliotekę, posiadającą przeszło 12 000 tomów nader cennych i rzadkich dzieł. Prócz biblioteki znajdują się w pałacu wspaniałe zbiory w meblach, obrazach, gobelinach i porcelanie. Kościół w Rusku wybudował w 1611 roku ówczesny właściciel Jan Zaremba.



Fot. L. Durczykiewicz w Czempiniu
Rusko.

Siemianice w powiecie kępińskim, własność hr. Aleksandra na Słupowie Szembeka, należy od roku 1700 do rodziny hrabiów Szembeków. Na początku wieku 19. należały Siemianice do jenerała Piotra Szembeka, przy końcu tegoż wieku do hr. Piotra Szembeka, wnuka jenerała. Piękny murowany dwór wystawił w roku 1835 jenerał Piotr Szembek, w roku 1894 został dwór powiększony i przebudowany przez hr. Piotra Szembeka, ówczesnego właściciela Siemianic.

Rzegotki w powiecie strzelińskim, własność panny Maryi Skrzydlewskiej, odziedziczona po ojcu Feliksie. Za polskich czasów należał majątek ten do rozgałęzionej w Polsce rodziny Żegotów, z których Krzysztof Żegota wsławił się w czasach najazdów Szwedów na Polskę niepospolitem męstwem w wielu bitwach z nieprzyjacielem. Zmianę pisowni nazwiska przypisać należy biegowi czasu. W roku 1869 nabył majątek ten od rodziny Stęszewskich Józef Skrzydlewski, wywodzący ród swój od wsi Skrzydlewa, leżącym w powiecie babimojskim.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Ci, co obojętni są na język ojczysty, są jak poganie obojętni na światło ewangeliczne; ci zaś, co pogardzają i poniewierają nim, a nawet zatracają go w dzieciach swoich, są jak okrutni prześladowcy pierwszych wieków, co w zaślepieniu krew wyznawców prawdziwej wiary przelewali, — a stokroć bardziej zaślepieni niż tamci, bo na sobie i swojem potomstwie dokonywują tego prześladowania.

Karol Libelt.

* * *

Przechowuj w sercu szlachetną miarę,
Przechowuj,
I żyj miłością swego narodu.
A w chwilach smutku, w chwilach zawodu,
O idealną oprzej się wiarę,
Jak powój.

Adam Asnyk.



Dziś i jutro, a my.

Stajemy w Galicyi i w Królestwie w obliczu groźnych chwil, w przededniu może ważnych, dziejowych wypadków niepewni, jaki nasz przyszły los, jaka nasza przyszła dola. A jeśli rzeczywiście przewidywane wypadki zajdą w tej, czy w owej formie, to mimo wszystko przyznać musimy, że zastaną nas nieprzygotowanych nietylko, ale nawet i niezorganizowanych. I to podwójnie niezorganizowanych duchowo i faktycznie. To, co się już od dłuższego czasu pisze, ani nie jest takiem w rzeczywistości, ani nie jest takiem, jakiem być powinno. Nic w świecie, a tem mniej życie narodu nie jest czemś oderwanem, nie składa się z niespodzianek, ani z przyczyn nieznanych, czy raczej niewiadomych, ale każdy przejaw w życiu narodu ma głębokie, może nieraz na razie niewidoczne przyczyny, które jednak widoczne skutki powodują. Każdy przejaw narodu to jego cząstka tchu, myśli, czy rozwoju organicznego, bo to nie sztuczna zakulisowa i z przed oka zwykłych śmiertelników zakryta gra dyplomacyi europejskiej, która uzależniona od woli poszczególnych jednostek, niejednokrotnie wbrew powszechnemu dobru i zasadom sprawiedliwości, a może nieraz i rzeczowej konsekwencyi czyni dowolne posunięcia na arenie politycznej Europy. Co prawda, my jak naród złączony z losami państw europejskich, które dzierżą pierwsze skrzypce w koncercie europejskim i od których w przeważnej mierze nasz los jest uzależniony, co gorsza nieraz może nieznany i ukryty przed nami, na nie wpływać w żaden sposób nie możemy, ale musimy je przyjmować *post factum* jako dokonane, mimo nieraz własnej woli i ze szkodą całego narodu. To zespolenie się z organizmem obcego państwa, do którego nas losy przyłączyły, to bierne choćby nawet najbierniejsze, a jednak faktyczne dzielenie swych losów z jego losami, jego przejawów wewnętrznych i zewnętrznych z naszemi i ustawiczne uzależnianie nietylko swej politycznej indywidualności narodowej, ale także całego swego życia politycznego i narodowego, oto suma tych momentów, która w bieżącej mowie nazywa się niewolą polityczną, utratą bytu niezawisłego. Jakie skutki ma ten stan dla nas, wiemy o tem dobrze, a w dzisiejszej chwili, gdy przyszłe wypadki europejskie i losy pokoju rozstrzygają się poza nami w tajnych gabinetach ministeryalnych, gdy niepewność jutra coraz silniej się potęguje w naszem społeczeństwie, zdanem na los szczęścia,



Fot. L. Durczykiewicz w Czempiniu.

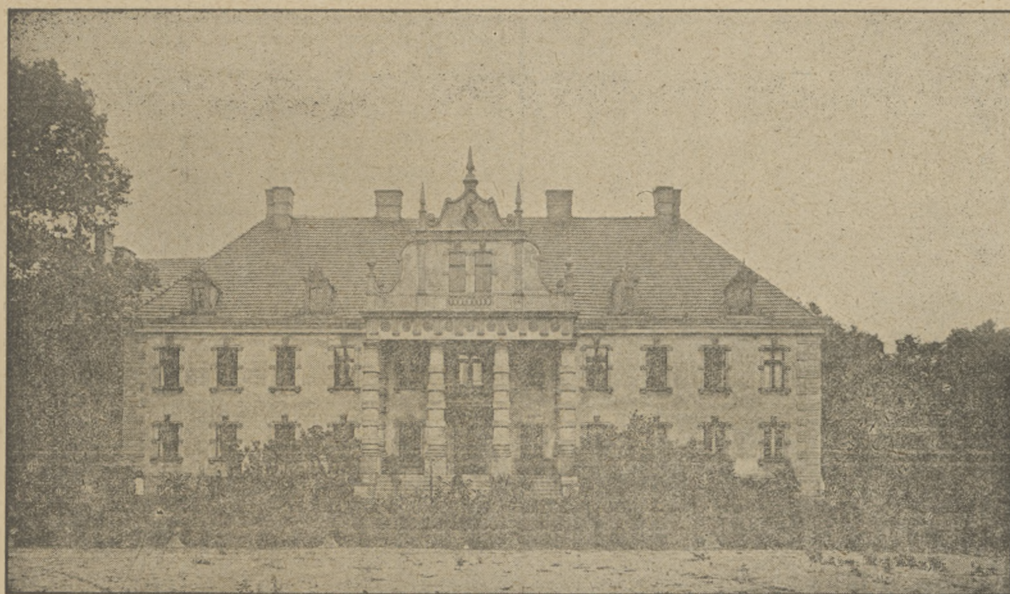
Rzegotki.

(Patrz artykuł: „Podobizny dworów Polskich.")

czy nieszczęścia, jeśli się zważy, że większość przyszłych wypadków rozstrzygać się może na naszych ziemiach i ponosić skutki politycznej gry państw europejskich, to zrozumiemy dopiero, dziś właśnie, co znaczy brak bytu niepodległego.

Dlatego jako przeciwwagę tych zakulisowych planów, które i o losach naszych decydować mogą, powinniśmy przeciwstawić własną indywidualną siłę, której wyrazem powinna być organizacya przedewszystkiem ducha i myśli polskiej. W poprzednim artykule wykazałem, że właśnie dziś w tych najważniejszych przejawach życia narodowego zaczyna panować dysonans i to osobliwy, bo właściwie obie strony stoją w jednych i tych samych szeregach idei, ale przeciw sobie, bo różnic zdań i różnic dróg do jednego i tego samego celu u nas nigdy nie brakło. A tymczasem nam dziś więcej niż kiedyindziej tego spokoju, tej rozwagi w działaniu i gromadzeniu sił narodowych potrzeba. Należy wziąć pod uwagę momenty te, które w ostatnim dziesiątku lat przed oczami naszemi się rozegrały, które przez nasze ziemie jakby wichura przebiegły. Czy one nie pozostały bez wpływu, bez śladu na nas?

Przypatrzmy się Królestwu: okres bandytyzmu i zniepravienia najniższych



Fot. L. Durczykiewicz w Czempiniu.

Siemianice.

(Patrz artykuł: „Podobizny dworów Polskich.")

warstw społeczeństwa, wreszcie okres „konstytucyjnych" rządów, czy nie przyniósł przewrotu w pojęciach politycznych i w działaniu, pomijając oczywiście wynikłe stąd szkody na polu gospodarczem i etycznem, choć w gruncie rzeczy i te sprawy są tak zespolone w wielu wypadkach jedne z drugiemi, że ich pomijać milczeniem równie nie można. Wszak liczba fabryk, liczba zatrudnionych w niej robotników, to każdy zrozumie, że to jest żywy kapitał narodu, to stan jego czynny, czynny pod każdym względem, z niego w tych, czy w owych warunkach, w tej, czy owej formie naród korzyść i pożytek odnosi, czy odnieść w przyszłości może. Setki, czy tysiące pozbawionych pracy ludzi stanowią stan bierny narodu, są dlań ciężarem bezproduktywnym nietylko, ale i szkodliwym, a niejednokrotnie straconym, wskutek emigracyi. Ubytek ten w życiu Królestwa w zamarciu ruchu robotniczego dzisiaj w Królestwie aż nazbyt widoczny, i fakt ten podkreślić należy. A u góry? Wśród warstw inteligentnych? Znać to samo wyczerpanie i osłabienie. Staczane boje o pierwszeństwo w przewodzeniu narodem, walki i dysputy, czy szermierka literacka wobec nowego ustroju państwowego o stanowisko nasze wyczerpała, wyjałowiła mózgi, a walka całego społeczeństwa doszła do tego zenitu osłabienia i wyczerpania, że w stolicy decydować zaczęli żydzi.

Ani tu miejsce ani sposobność do rozwijania stosunku polsko-żydowskiego. Nam chodzi w tym wypadku o podkreślenie faktu obecnego stanu rzeczy w Królestwie, że dzisiejszy ruch antyżydowski, w gruncie rzeczy korzystny dla nas, świadczy jednak o bezsilności naszej, a to dlatego, że jest on wyrazem naszego podrażnienia z powodu klęski i upokorzenia doznanej od żydów przy wyborach i zwrócenia się z całym zasobem sił kulturalnych i materyalnych w tę stronę. Nie jest to ten odruch, instynktowy, jaki cechował Poznańskie po zastosowaniu wywłaszczenia, nie jest to ten zdrowy prąd ekonomiczny Czechów, który stwarza i pomnaża siły narodowe i doprowadza do tego, że w czeskiej miejscowości rzemieślnik Niemiec nie może się ostać, a przez to dana miejscowość coraz bardziej „oczyszcza się" z Niemców, ale ten żywiołowy pęd wszystkich stanów w Królestwie przeciw żydom, — należy się obawiać — że jak wybuchł szybko tak może jeszcze szybciej ustać. Najgłówniejszą w tym wypadku rzeczą jest fakt, że jest to odciągnięcie uwagi społeczeństwa całego od wypadków chwil bieżących i skupienie sił moralnych i materyalnych w inne strony. I dzisiaj mamy ten objaw całkiem zrozumiały, że Królestwo nie ulega bynajmniej nastrojowi chwil bieżących, lecz życie swe całkiem odmiennym skierowało korytem. *St. W.*



Doktorowa Kosmowska.

O zaufaniu dzieci do rodziców.

(Ciąg dalszy.)

Jakimby to wówczas dla zrównoważenia złych wpływów powinien być dom polski, tem więcej, że w nim ześrodkowały się odtąd wielkie aspiracye. Ellen Key głosiła wówczas stulecie dziecka i zrozumiano ją w ten sposób, że dogadzano wszelkim zachciankom i kaprysom dzieci — nie podnosząc i nie rozwijając przyrodzonych zdolności i przymiotów— zalecano *indywidualność* na rzecz indywidualizmu szkodliwego w życiu społecznem i zbiorowem. Dzieci stawiane na piedestale uwielbienia rodzinnego rosnąć uczyły się lekceważyć to wszystko, co nie dogadzało ich egoistycznym potrzebom.

Rzecz szczególna, te rodziny, o których mówiono, że „żyją tylko dla dzieci," wychowywały je najgorzej. Ogołociły je one z tych warunków, które są dla rozwoju indywidualności niezbędne, pozbawiły je możności wchłonięcia materyału odżywczego z otaczającego świata, nie nauczyły patrzeć na różnorodność przemian tak natury jak życia ludzkiego, nie rozbudziły w nich współczucia potrzeby współdziałania z ogółem.

Dom rodzinny wówczas był to ten dzwon szklanny, z którego wypompowuje się do doświadczeń powietrze — zamknięte w nim istoty obumierają — i dzieci też nasze w atmosferze, jaką im stworzyliśmy zbytnią troskliwością, dusiły się moralnie — zatracały w sobie materyał na działaczów, na ludzi.

Wyrastały całe falangi po płaszczyźnie nizkiego używania staczających się jednostek, a w tych najlepszych, o czystym kruszcu — wytworzyła się armia agitatorów tworzących partye polityczne bez pogłębionego i uszlachetnionego programu, zwalczające się wzajemnie. I ci ostatni rozgoryczeni, błąkający się w ciemnościach, chwiejni i wykolejeni, nie kochają nas, czujemy ich bezwiedny bunt, za to wszystko, co zostało w ich duszach zmarnowane — obwiniają nas i słusznie.

Bóg nam dał materyał bez ceny — w rękach naszych rozkruszył się on na próbę lub w najlepszym razie rozmienił się na drobną monetę drobiazgowych zabiegów — nizkich wzlotów bez jasnego i wyraźnego celu.

Powie mi kto, że wszystkie spadające na nas klęski, wszystkie ograniczenia i utrudnienia w rozwoju płynące z zewnątrz pomijam a wszystko zło, które z tego płynie, przypisuję wadliwemu wychowaniu młodych pokoleń. Im czasy są cięższe, tem natury hartowniejsze tworzyć się powinny — a dom polski musi być domem i świątynią i wychowywać ludzi nie na miarę krawca, lecz Fidyasza.

Przyszły inne czasy, zmieniły się w pewnej mierze stosunki, otworzyły się nowe pola społecznej pracy — a poprzednie pokolenie nie przygotowało pracowników.

Z zamętu rewolucyjnego wyłoniły się dla nas dwie bardzo ważne dźwignie: szkoła polska prywatna i swoboda stowarzyszeń.

Stowarzyszenia to moc, to siła — stowarzyszenia to „naród sebe" Czechów, zwyciężający zwartą, wytężoną pracą, zachłanną potęgę niemiecką — to spółki zarobkowe poznańskie stawiające opór obcym — to usiłowania południowej Słowiańszczyzny, która mocą swych zrzeszeń dąży do zatknięcia zwycięskiego sztandaru nad Bosforem.

Mnożą się objawy, które wskazują, że ta młodzież ze sfer inteligentnych, która kończyła już nauki po rewolucyi, nie bardzo zdaje sobie sprawę w jaki sposób stanąć przy narodowym warsztacie i wziąć się do zbiorowej pracy. Kształcą się poważnie na uniwersytetach zagranicznych, żadnej jednak komunii duchowej pomiędzy nimi a rodziną nie widać.

Niedawno odbył się w Warszawie zjazd młodzieży ziemiańskiej. Około 200 młodych zgromadziło się na wspólną naradę, czem mają po za swoją pracą zawodową zapełnić życie — jak stać się pożytecznymi dla kraju. Oto, co o tym zjeździe pisze organ realistów „Słowo", nie mogące być żadną miarą posądzone o stronniczość w tym kierunku:

„Młodzi rolnicy nie bardzo zdawali sobie sprawę o co właściwie chodzi, a mianowicie w jaki sposób będą mogli i powinni być czynnymi. Nie można im z tego czynić zarzutu, wszak wchodzą dopiero w życie. Wszakże *coś nie coś* powinni byli młodzi usłyszeć od swego otoczenia starszego, a mianowicie: pod jakim względem stosunki u nas szwankują, jakie są potrzeby ogółu. Ale trudno zaprzeczyć, że takich akademij domowych, w których by starsi rozmawiali o rzeczach oderwanych z młodszymi, lub młodzi informowali się u starszych o potrzebach kraju, o obowiązkach, jakie ich w przyszłości czekać będą — jest stosunkowo mało. Daje się stale zauważyć, że stosunek pomiędzy młodszem a starszem pokoleniem urobił się raczej w kierunku braku zaufania niż ufności."

Młodzież ta wybiegła po za ciasne ramy swego dotychczasowego życia zaczyna rozpoznawać jak ją dotąd wychowywano, jak w niej zabijano to wszystko, co nadaje życiu wartość i wagę, szuka dróg raczej, nie zwracając się do najbliższych z ufną miłością. Leży przedemną ankieta wystosowana przez młodzież polską studyującą w Wiedniu, pragnie ona drogą odpowiedzi na kwestyonaryusz, poznać desiderata wsi polskiej — nie zna terenu, w którym działaćby pragnęła — czuje tylko, że w takich warunkach, w jakich większość narodu u nas żyje, żyć nie podobno.

Są to już przebłyski uświadomienia społecznego, są to zapowiedzi, że obecne pokolenie lepiej pracować będzie dla przyszłości — czy jednak nie uznamy tego także, że nasz organizm narodowy wyczerpany szeregiem wysiłków jednej tylko sfery, potrzebuje świeżych sił, odżywczych soków z innych odłogiem dotąd leżących warstw ziemi.

(Dokończenie nastąpi.)



Podgórze.

W tych dniach doniosły pisma, że komisye wspólne dla połączenia obu miast z łona rady miast Krakowa i Podgórza, przyjęły warunki połączenia obu miast we wielki Kraków, do którego już przed dwoma laty dołączono szereg podmiejskich gmin. Tylko jedno Podgórze zwlekało z pobudek czysto lokalnych, a choć nie ma w nich tych aspiracyj, które mu nadał Józef II., zakładając to miasto, to jednak broni ono uporczywie swego samoistnego istnienia. Podgórze założone zostało przez Józefa II. po pierwszym rozbiorze Polski, w tem przekonaniu, że zdoła rozwinąć się i zadać cios Krakowowi. Drugi cel nie został osiągnięty, Podgórze Krakowa nie zdołało zniszczyć, ale też samo przy nim i dzięki niemu rozwinęło się na średnie, bo do 30 tys. mieszkańców liczące miasto. W dziejach porozbiorowych odgrywało ono niejednokrotnie ważną rolę, będąc punktem granicznym i siedzibą władz austryackich, aż do roku 1846, kiedy to Kraków został włączony do Austryi. Szczególniej podczas nieudałego powstania w 1846 r. Na dzisiejszym moście między Krakowem a Podgórzem wywiązała się walka między wojskiem austryackiem a powstańcami, którzy podczas walki most zerwali. Po tym moście w kilka dni naprawionym przeszli górnicy z Wieliczki, którzy przyłączyli się do powstania, a w niedługi czas później wyszła przez Podgórze procesya z Krakowa z duchowieństwem na czele, aby tłumić rzeż i chłopstwo odwracać od mordowania szlachty. Tu na rogu rynku spotkała się procesya z wojskiem austryackiem, które natarłszy na bezbronny lud rozpędziło go, zabiwszy wielu rozproszónych po rynku i uciekających w kierunku Krakowa.

Do dziś dnia w Podgórzu wznoszą się pierwsze domy stare z czasów założenia miasta o niesmacznym wyglądzie noszącym słusznie miano stylu józefińskiego. Nadto u wylotu dawnego mostu z Krakowa wznoszą się mury cytadeli podgórskiej, mającej za zadanie do 1846 r. bronienia granic austryackich przed inwazyą polską. Do niedawna wznosiła się u brzegu Wisły ogromna szopa, będąca w czasach polskich, a nawet i później szych składownią soli z Wieliczki, spławianej następnie Wisłą.



Rynek w Podgórzu, na którym się rozegrały krwawe sceny w 1846 roku.



Fragment z Podgórza. Najstarsza część miasta z domami z czasów Józefińskich.





Most w Podgórzu nad Wisłą, łączący Kraków z Podgórzem, zbudowany jeszcze za Rzeczypospolitej krakowskiej.



NA WIDOWNI.

Stan obecny naprężenia i niepewności utrzymać się już długo nie może i każdy dzień lub tydzień przynieść musi wiadomość, czy pokój zabezpieczony, czy mieć będziemy wojnę.

Próbą doniosłą zachowania pokoju było, jak to dziś widoczne, wysłanie ks. Hohenlohego do Petersburga.

Misya atoli się nie powiodła. Mimo okraszeń tego fiaska ze strony półurzędowej prasy austryackiej dziś już wiadomo, że w Petersburgu nie zgodzono się na propozycyę monarchy austryackiego.

O samej chęci załatwienia sprawy pokojowej ze strony Austryi i Niemiec świadczy wiadomość, która pojawiła się w tygodniu bieżącym i która uchodzi już za fakt nie ulegający wątpliwości. Oto jeszcze jednej próby podjął się rząd niemiecki przez swego ambasadora, który wystąpił w Petersburgu z pośrednictwem swojem w zatargu austryacko-rosyjskim.

Oczywiście, że takie pośrednictwo może odbywać się tylko za zgodą Austryi, która pragnie widocznie bardzo gorąco pokoju.

Co uczyni Rosya?

Już fakt sam, że ze strony Austryi i Niemiec uczyniono dwukrotnie próby ryzykowne i nieco upokarzające załatwienia sprawy pokojowej, musi Rosyę naprowadzić na myśl, że Niemcy i Austrya wojny nietylko, że nie życzą sobie, ale może się już obawiają. W takiem położeniu rzeczy nie można łudzić się nadzieją, iż Rosya ustąpi, i że życzeniom Austryi stanie się zadość. Przeciwnie Rosya obstawać będzie przy swych warunkach dalej, wiedząc o tem z całą stanowczością, że Austrya i Niemcy do wojny nie doprowadzą, że więc wojny nie będzie.

Jeżeli tak jest istotnie, to tydzień ubiegły byłby jednym z pierwszych od kilku miesięcy, który przechylił szalę na stronę pokoju.

Wojny nie będzie, bo Austrya i Niemcy mają powody do zachowania pokoju.

O pośrednictwie Niemiec w Petersburgu doniesiono dziennikom francuskim, że ono oficyalnie zostało zgłoszone oraz, że ambasador niemiecki hr. Pourtales w Petersburgu złożył oświadczenie, iż Niemcy gotowe wpłynąć na Austryę, aby w żądaniach swych co do ustanowienia granic Albanii zbliżyły się do stanowiska i poglądów Rosyi.

Odnośne pokojowe zapewnienia złożył też w tych dniach prezydent ministrów br. Stürgkh, co jest także objawem bardzo doniosłym, ponieważ w sprawie pokoju austryaccy mężowie stanu byli dotychczas bardzo małomówni.

To pokojowe usposobienie Austryi i Niemiec posiada znaczenie bardzo zasadnicze i ustanowienie granic państw bałkańskich po myśli Rosyi i Francyi oznacza zmianę radykalną w polityce europejskich mocarstw.

Jak się ta sytuacya przedstawiać będzie w niezadługiej przyszłości?

Oto na Bałkanie powstaje związek państw, który razem reprezentować będzie potęgę jednego mocarstwa.

Związek ten przystąpi bez wątpienia do trójporozumienia i wytworzy z Anglią, Francyą i Rosyą przymierze poczwórne, które stanowczą posiadać będzie przewagę nad trójprzymierzem.

Znaczy to w języku dyplomatycznym, że równowaga europejska będzie zamącona, że w każdej wyłaniającej się kwestyi przymierze poczwórne może, zagroziwszy swoją przewagą, zmusić trójprzymierze do ustąpienia.

Rządy i przewaga Niemiec w Europie skończyłyby się na zawsze; Austrya w przewadze słowiańskiej musiałaby inną aniżeli dotychczas prowadzić politykę; dzisiejsze stanowisko dominujące Niemców i Madziarów zajęliby tam Słowianie, przyczem oczywiście nie obyłoby się bez gwałtownych wstrząśnień.

Co więcej, tak Serbia jak i Rumunia mogłaby wystąpić z uroszczeniem do Austryi, jej ziem serbskich i rumuńskich, w czem zapewne popierałaby je Bułgarya i Grecya, którym zależy na zwróceniu dążeń Serbów i Rumunów w kierunku na północ i zachód, bo przez to zmniejszyłyby się wpływy ich w Macedonii.

Dotychczas sądzono powszechnie, że wojna wybuchnąć musi, ponieważ nie przypuszczano, aby Niemcy i Austrya pozwoliły na powstanie związku państw bałkańskich, który za lat kilka połączy się z Rosyą i Francyą przeciw trójprzymierzu.

Rozumowano słusznie: Niemcy i Austrya mają dziś większe szanse wygranej aniżeli za lat pięć, gdy przeciw nim wystąpi także związek państw bałkańskich.

Jeżeli dziś do wojny nie przyjdzie, to widoczne, że szans tej wygranej nie mają już dzisiaj państwa, pozostające w trójprzymierzu.

Wszakże losy pokoju wciąż się jeszcze ważą. I znowu w chwili ostatniej ogłoszono w urzędowej gazecie wiedeńskiej, że nawet zapewnieniom ministrów ufać nie można.

Z ogłoszenia tego wnoszą, że rządowi austryackiemu zależy na tem, aby grozić wojną do ostatniej chwili i zdobyć na półwyspie bałkańskim korzystne dla siebie określenie granic Albanii.



Z żałobnej karty.

Ś. p. Tadeusz Popiel,

szambelan papieski, znakomity malarz-artysta zmarł w Krakowie w sile wieku. Były uczeń Matejki w krakowskiej szkole sztuk pięknych, pracował Popiel przez czas dłuższy w Wiedniu w pracowni Makarta, największego kolorysty swego czasu. Z Wiednia na dalsze studya udał się do Monachium do pracowni profesora Wagnera. Tam też ukończył dwa większych rozmiarów obrazy „Uriel Akosta" i „Neron", które wkrótce znalazły nabywców i młodemu wówczas jeszcze artyście przyniosły pierwsze laury. Pociągał go zawsze ów świat klasycznego piękna — czysty lazur nieba, fale błękitne i słońce południa — Tycyan, Rafael, Leonardo da Vinci, Tiepolo, Michał Anioł — i wybrał się do Włoch. Ze wszystkich mistrzów włoskich Tiepolo, zdaje się, najwięcej go zachwycał: miękkość i harmonia linij, subtelność i wdzięk kolorytu tego weneckiego mistrza, wycisnęły też niezatarte piętno na wszystkich jego późniejszych pracach. Gruntowne studya, jakim następnie z całym zapałem oddał się we Włoszech, studya fresków — u zmarłego przed



Ś. p. Tadeusz Popiel.

kilku laty profesora Seitza, prace nad polichromią kilku kościołów, jakie pod okiem tego znanego mistrza wykonał we Włoszech, rozniosły niebawem imię jego jako jednego z najwybitniejszych mistrzów w dziedzinie sztuki kościelnej. To też gdy i wystawa zbiorowa jego obrazów w Poznaniu tak niezwykły odniosła sukces, powierzono mu prace malarskie w nowo zbudowanym kościele w Kępnie, polichromię kościoła parafialnego na Jeżycach a ostatnio renowacyę najpiękniejszego może zabytku sztuki naszej w Poznaniu, kościoła Farnego. Z niezwykłym zapałem zabrał się do dzieła tego, nie szczędząc chwilki czasu, jakby przeczuwał, że to ostatnie jego dzieło, którem i nieżyczliwych sobie przekonać zdoła. W krótkim czasie, bo w niespełna pół roku, odnowił presbiteryum i nawę poprzeczną, własnoręcznie przepracowując około 60 obrazów. Znawcy z pełnem uznaniem wyrażają się o jego pracy podziwiając, jak szczęśliwie artysta zdołał utrzymać dawniejszą harmonię barw, zachowując i uzupełniając umiejętnie pierwotny wygląd przy podjętej pracy, mając na oku wielką wartość tego ze wszech miar cennego zabytku. Niestety, w połowie drogi wyrwała śmierć nieubłagana tego wybitnego artystę, który pozostawił na sklepieniach najpiękniejszego naszego kościoła pomnik swojej działalności.

Zanim Wielkopolska miała sposobność zapoznania się z twórczością Tadeusza Popiela, poprzedziła go już rozgłośna sława z odnowienia kaplicy polskiej w Padwie, z medali na wystawach międzynarodowych w St. Louis, Chicago i Paryżu, poprzedziły go głosy pełne uznania w wykonaniu polichromii w kościele św. Katarzyny w Petersburgu, w katedrze przemyskiej, w kaplicy Matki Boskiej u OO. Jezuitów we Lwowie, oraz w licznych innych kościołach w kraju i za granicą. Prace te w uznaniu zasług przyniosły mu tytuł szambelana papieskiego.

Tadeusz Popiel był także twórcą przepysznego cyklu obrazów „Z emigracyi chłopskiej" zakupionego do muzeów państwowych w Stanach Zjednoczonych oraz współtwórcą wspaniałej panoramy „Bitwa racławicka", którą malował wspólnie z Kossakiem i Styką. Więc też i urządzona w Poznaniu w początkach r. 1910 zbiorowa wystawa prac tegoż artysty wprost nadzwyczajnem cieszyła się powodzeniem. Nietylko że zwabiała do Salonu „Stowarzyszenia Artystów" codziennie tłumy publiczności, lecz przedewszystkiem, co bardzo rzadko się zdarza, wszystkie obrazy, jakie tylko były do nabycia, co do jednego zostały sprzedane.

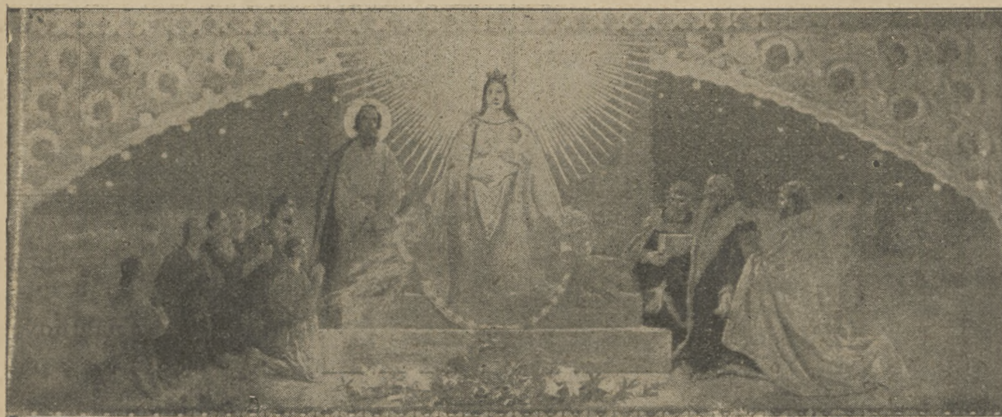
Chcąc chociaż w przybliżeniu zaznajomić czytelników z wybitną twórczością w dziedzinie sztuki kościelnej zawcześnie zmarłego znakomitego malarza, dajemy ryciny jego obrazów, zdobiących wnętrze kościoła jeżyckiego: „Anioł pasterzom mówił", obraz na ścianie po prawej stronie wielkiego ołtarza, Hołd trzech króli, obraz po lewej stronie wielkiego ołtarza, wielki ołtarz i ołtarz św. Floryana w lewej nawie.



Fot. „Camera." Z. Śniegocki w Poznaniu.

„Anioł pasterzom mówił."

Obraz na ścianie po prawej stronie wielkiego ołtarza w kościele jeżyckim.



Fot. „Camera." Z. Śniegocki w Poznaniu.

Hołd trzech króli.

Obraz na ścianie po lewej stronie wielkiego ołtarza w kościele jeżyckim.

* * *

Dnia 24-go z. m. odbył się w Krakowie pogrzeb artysty-malarza ś. p. Tadeusza Popiela. Na cmentarzu, obok rodziny, zebrało się grono artystów-malarzy, profesorów Akademii, kolegów i przyjaciół. Na trumnie złożono liczne



Fot. „Camera Z. Śniegocki w Poznaniu.

Ołtarz św. Floryana w kościele jeżyckim w lewej nawie.

wieńce, między innemi od Towarzystwa przyjaciół sztuk pięknych we Lwowie i Krakowie, Związku artystów w Poznaniu i i. Modły odprawił ks. kanonik Mazanek w otoczeniu zakonu OO. Franciszkanów. Po odśpiewaniu „Requiem" zwłoki złożono na wieczny spoczynek. Dnia 25-go z. m. rano w kościele OO. Franciszkanów odbyło się urządzone staraniem zakonu uroczyste nabożeństwo żałobne. Po mszy świętej w serdecznem, rzewnem przemówieniu ksiądz gwardyan O. Maryan Sobolewski podniósł zasługi artystyczne zmarłego około przyozdobienia świątyni ks. ks. Franciszkanów, w której polichromię nawy głównej wykonał ś. p. Popiel. Na ręce wdowy nadeszło następujące pismo z kancelaryi papieskiej: „Ojciec św. śle wyrazy żywego współczucia z powodu zgonu ś. p. małżonka, zanosi modły o spokój jego duszy i udziela z serca błogosławieństwa Apostolskiego. — Kardynał Merry del Val."

W kościele Farnym w Poznaniu odbyło się w ubiegły czwartek nabożeństwo żałobne za duszę zmarłego.

Cześć Jego pamięci! Spokój Jego duszy!

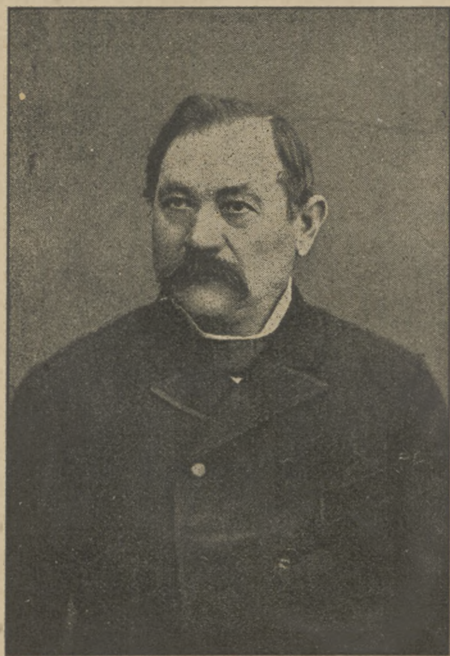


Podobizny uczestników powstania styczniowego.

(Ciąg dalszy.)

Jan Jax.

Urodził się w Gnieźnie roku 1824, odsługiwał wojskowość w Kołobrzegu w Pomeranii, następnie puszczony do domu, zaciągnięty był ponownie w roku 1848 jako landwerzysta do 14 pułku piechoty, który wówczas stał załogą w Gnieźnie; w pułku tym pełnił służbę podoficera. Ponieważ w tym czasie na wiosnę roku 1848 tworzyły się po całem Wielkiem Księstwie Poznańskiem oddziały powstańców, Jax udał się w nocy z całem kapralstwem, składającem się z 18 ludzi, uzbrojonem i umundurowanem, do powstańców, którzy zbierali się w Trzemesznie. Nadmienić wypada, że w pułku 14 piechoty służyli prawie sami Polacy, którzy wszyscy byli jedną myślą przejęci, to też z tego pułku prawie co noc do 60 żołnierzy dezertowało. Z Trzemeszna przeszedł oddział powstańczy do Jarocina, a ztamtąd udał się pod Miłosław, gdzie Jax brał udział przy zdobywaniu tegoż miasta w drugiej kompanii strzelców w stopniu podchorążego. kapitanem drugiej kompanii był Goślinowski, lecz Jax jako człek wojskowy, dowodził całą kompanią; następnie brał udział w bitwie pod Wrześnią. Po upadku powstania był zmuszony przez pół roku się ukrywać, dopiero po amnestyi zgłosił się do swego pułku. Puszczony po długich badaniach, przeniósł się do Królestwa Polskiego i zamieszkał w Słupcy. Gdy w roku 1863 wybuchło powstanie, Jax uczył w temże mieście powstańców mustry w pokojach nad pocztą, do naczelnika poczty należących. Wszyscy urzędnicy Polacy, także i naczelnik poczty Polak, do spisku należeli. Żona naczelnika z córkami mieszkała w Warszawie, więc pokoje były próżne i oprócz ćwiczeń w mustrze urządził Jax w tych pokojach fabrykacyę nabojów, których pocztą tysiące odstawiał do Warszawy.



Jan Jax.

Gdy Jax się dowiedział, że generał Mierosławski znajduje się pod Krzywosądzem, zebrał swój oddział i w 140 wyćwiczonych ludzi poszedł pod Krzywosądz opuściwszy żonę i czworo małych dzieci. Przybył tam dotąd już po rozstrzygniętej bitwie, a zastawszy tylko Moskali, wrócił się i spotkał Mierosławskiego pod Nowąwsią, gdzie Mierosławski zdał dowództwo Mielęckiemu, który przyjął bitwę w niekorzystnych warunkach, mając wprawdzie 700 powstańców, ale w tej liczbie ledwo 200 uzbrojonych w broń palną, reszta miała kosy, było także 70 ułanów. Moskali było 1000 piechoty i 200 kozaków, to też wynik bitwy był dla powstańców fatalny. Po przegranej bitwie i rozejściu się oddziału, powrócił Jax do domu i przez Rząd Narodowy w dowód położonych zasług, został mianowany naczelnikiem wojennym miasta i okręgu Słupeckiego. Nominacya ogłoszoną została na rynku w Słupcy przez porucznika Kazimierza Chełmickiego w asystencyi Feliksa Krzeczkowskiego i Francuza Emila Foché'go, syna francuskiego ministra. Stanowisko naczelnika wojennego było wtenczas bardzo trudne, odpowiedzialne i niebezpieczne. Naczelnik wojenny powiatowy był narażony na aresztowanie przez władze moskiewskie, szubienicę lub katorgę i tortury, to też rząd moskiewski wyznaczył 600 rubli nagrody za ujęcie Jaxa, lecz nikt się o to nie pokusił, a nasz naczelnik obowiązki pełnił wiernie i sprawie narodowej służył szczerze, przyczem i jego żona z domu Trańska po dwa razy była przez Moskali aresztowaną. Kobieta energiczna i dobra Polka, pomimo aresztowania, umiała ukryć pieniądze narodowe i to znaczniejsze sumy na probostwie. Po upadku powstania i utracie majątku, powrócił Jax do Prus; umarł w Poznaniu w roku 1897, pozostawszy do śmierci dobrym Polakiem i gorącym patryotą.



Fot. „Camera." Z. Śniegocki w Poznaniu.
Wielki ołtarz w kościele parafialnym jeżyckim.

Wycieczka na Muty.

Do jednej z najpiękniejszych wycieczek narciarskich obecnego sezonu, zaliczyć śmiało można odbytą w ubiegłą niedzielę na Zełemin, Kodrawiec i Muty przy udziale ośmiu członków K. T. N. Przybywszy rannym pociągiem ze Sławska do Zełemianki, gdzie o godzinie pół do 7-mej przypięto narty i rozpoczęto wchód boczną granią na Kodrawiec.



Fot. inżynier Hetper we Lwowie.
Wejście na Muty.

Lekko zaróżowione chmurki na wschodzie zaczęły coraz bardziej się rozjaśniać i wreszcie ukazało się słońce w całem bogactwie swych złocistych szat, sunąc po blado błękitnem niebie.

Szczyt Kodrawca osiągnięto o godz. 11-tej, z którego podziwiano przecudny widok roztaczający się ku północnej stronie. Drobne wzgórza przechodzące w doliny widniały hen ku Stryjowi. Po krótkim odpoczynku podążono na główny cel wycieczki Muty (1266 m.) Grań wiodąca na Muty, jak również grań od Kodrawca ku Zełeminowi, opadająca prawie prostopadle od strony północnej, obfitują w olbrzymie nawiewy śnieżne. Głęboki, sypki śnieg jakoteż doskonały teren dopełniały całości korzystnych wrażeń, jakie odnieśli uczestnicy tej wycieczki.

Szczyt Muty osiągnęli turyści o godzinie 1.30, poczem pięknym zjazdem powrócili na Kodrawiec po pozostawione plecaki. O zachodzie słońca osiągnięto Zełemin. Księżyc i iskrzące się gwiazdy oświetlały swem melancholijnem, drgającem światłem zjazd z Zełemina ku torowi kolejowemu, poczem udano się do Hrebenowa, gdzie poczekano na ranny pociąg. Temperatura średnia wynosiła 15 stopni C., wieczorem mróz wzmógł się do 27 stopni C.

Saski.

Lwów, 22. II. 1913.

Z TEATRU.

Jubileusz p. St. Czerniaka, Pani Walewska. — Burza.

Dwadzieścia i pięć lat w jednym zawodzie — to zaiste okoliczność godna uświęcenia. O ile więcej, jeżeli praca ta poświęcona była jednej instytucyi.

Rzadką tę uroczystość obchodził zeszłego wtorku p. Stanisław Czerniak, zasłużony artysta dramatyczny i członek naszej sceny. To też, kto tylko mógł, podążył do teatru, aby uczestniczyć we wieczorze honorowym artysty i złożyć mu zasłużony hołd.

Widownia przepełniła się po brzegi. Gdy artysta pojawił się na scenie, zerwały się długotrwałe, owacyjne oklaski. Właściwa jednak owacya odbyła się w przerwie między aktem drugim a trzecim.

Na scenie zgromadził się cały personel teatru naszego z dyrektorstwem i reżyserami na czele. Gdy umilkły oklaski, zabrał głos p. dyrektor Szczurkiewicz, podnosząc zasługi, jakie jubilat około sceny naszej położył i sławił go jako znakomitego artystę i zacnego, szlachetnego człowieka. Drugim mówcą był reżyser dramatu p. Kindler. Imieniem Kolegów przemawiał p. Szatkowski, po p. Czerniaku najstarszy obywatel naszej sceny. Następnie zarecytował p. Kęcki piękny wiersz okolicznościowy ułożony na cześć jubilata przez p. Maryę Paruszewską, poczem p. Malawski, reżyser opery, odczytał kilkadziesiąt telegramów nadesłanych przez wielbicieli i przyjaciół jubilata, od wybitnych jego kolegów, od dyrektorów teatrów itd.

Ofiarowano mu kilka wieńców srebrnych, mnóstwo drogocennych podarków i upominków. Nie brakło także powodzi kwiatów.

Jubilat do głębi wzruszony w serdecznem przemówieniu dziękował za objawy sympatyi i życzliwości, któremi go zasypano...

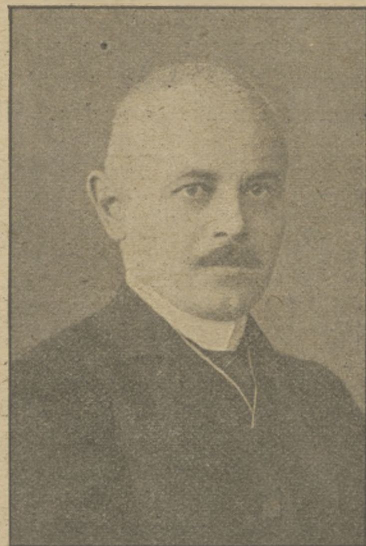
Był to zaiste piękny i podniosły wieczór. Uroczystość serdeczna i rzewna zarazem. Pozostanie ona na długo



Stanisław Czerniak.
Klisza sporządz. wedł. fotografii z lat młodszych.

w pamięci uczestników, a dla jubilata będzie wspomnieniem na zawsze krzepiącem. Życzymy mu z całego serca tego pięknego wyróżnienia, na które zasłużył sobie długoletnią rzetelną i sumienną pracą w całej pełni.

Nie stąpał on przez życie różami zasłaną drogą. Kto zna jako tako stosunki, w których żyć przychodzi artyście polskiemu w naszej mianowicie dzielnicy, ten potrafi ocenić, ile hartu ducha i woli było potrzeba, żeby wytrwać



Stanislaslaw Czerniak.
Klisza sporz. wedł. fotografii z ostatniego czasu.

na posterunku wiernie przez ćwierć wieku. I musiało w duszy tego artysty być coś więcej niż poczucie obowiązku, co mu ten trudny pobyt między nami ułatwiło. A było to zapewne uczucie przywiązania do publiczności naszej, która mimo wszystko, coby jej zarzucić można, posiada jedną wielką zaletę, a mianowicie, że potrafi za serce płacić sercem. I zżył się Czerniak z Poznaniem. Nie jest on tem, co się w

żargonie teatralnym nazywa „ulubieńcem publiczności“. Zaszczytniejsza padła mu rola. Pozyskał on szczerą przyjaźń i szacunek rzetelny wśród społeczeństwa nie tylko jako artysta, lecz przedewszystkiem jako człowiek.

Nie mojem zadaniem podnosić zalety charakteru i serca szanownego jubilata. Lecz nie mogę sobie odmówić przyjemności wskazać na jedną z głównych jego zalet, jako artysty. A tę upatruję w miłości i odpowiedzialności artystycznej, z jaką traktuje swój trudny i zaszczytny zawód.

W bogatym swym repertuarze posiada czcigodny jubilat olbrzymią galeryę najróżnorodniejszych figur. Ich wartość artystyczna nie jest jednolita. Są tam kreacye prawdziwie koncertowe, są inne, którym bez ubliżenia pierwszym nie możnaby oddać tej najwyższej pochwały, lecz nie ma ani jednej, którejby można zarzucić niesumienną, lekkomyślną robotę. Można się na nie godzić lub nie godzić, lecz w każdej musimy uszanować trud rzetelnego artystycznego wysiłku. Z każdej przemawia do nas miłość, z jaką ją artysta tworzył, poczucie odpowiedzialności, które zawsze było mu przytomne. Tylko poważny i seryo człowiek może być poważnym i seryo artystą. Jednym i drugim jest Czerniak i to jest tajemnicą tej rzetelnej, spokojnej, lecz niezachwianej sympatyi, jaką się w naszym grodzie cieszy.

Nie mogę tej krótkiej wzmianki nie zakończyć serdecznem życzeniem, aby czcigodny jubilat, który na naszej scenie najlepszy wiek strawił, jeszcze długo krzepił nas swoją piękną sztuką, a dla młodszych kolegów był wzorem cnót, bez których i wielki talent bezkarnie obywać się nie może.

Na omówienie sztuki, którą artysta wybrał na swój wieczór honorowy, mało mi pozostało miejsca. Zaznaczę tylko krótko, że „Pani Walewska“ szczęśliwie przez Nikorowicza z powieści Gąsiorowskiego na dramat ufryzowaną została. Rzecz ta wskrzesza jeden z najboleśniejszych i najsmutniejszych epizodów naszej historyi. Mimo to może liczyć na względy publiczności.

Przedstawienie, znakomicie wyreżyserowane przez p. Kindlera, który także jako Napoleon zasłużone zbierał laury, bardzo pięknie się prezentowało. Szambelanem był jubilat, który skorzystał ze sposobności, by w niewielkiej tej roli złożyć nowy dowód swego znakomitego kunsztu scenicznego. Tytułową rolę objęła p. Pieńkowska i wywiązała się ze zadania na ogół szczęśliwie. Większe role przypadły w udziale p. Lenartowiczowej (ks. Jabłonowska) i p. Adamówne (hr. de Vauban). Z mężczyzn pp. Lochman (Małachowski), Kęcki (ks. Beneventu), Ryll jako stary sługa, tudzież Mierzejewski jako Ornano wdzięczne znaleźli pole popisu. Również na wymienienie zasługują pp. Szatkowski i Rembowski jako też naturalna i swobodna gra p. Drozdowskiej.

Szekspirowska „Burza“, którą po raz pierwszy grano zeszłej soboty, nader piękną i pomysłową odznacza się wystawą, za co tak dyrekcyi jak reżyserowi rzetelne i gorące należy się uznanie. Również gra artystów zasługuje na pochwały. Sztukę tę polecamy jaknajgoręcej uwadze publiczności, a do dyrekcyi zanosimy prośbę, aby rzecz tę w stosownym czasie zechciała dać jako popołudniowe przedstawienie dla dzieci. Skoro mowa o dzieciach, to może dałoby się na przyszły sezon obmyśleć coś stosownego dla dziatwy. Coraz więcej tego maleństwa bowiem spotyka się w kinematografach... *R.*

Z bieżącej chwili.

Sprawa ks. biskupa sufragana warszawskiego.

Skazany w swoim czasie zupełnie bezprawnie przez sąd warszawski biskup sufragan warszawski ks. Kazimierz Ruszkiewicz za unieważnienie ślubu maryawickiego, apelował do senatu. Wyrok osadzenia w twierdzy biskupa katolickiego za spełnienie obowiązków duszpasterskich miał charakter polityczny — chodziło o wykazanie opieki rządu nad sektą maryawicką i przestrzeżenie księży przed występowaniem przeciw niej.



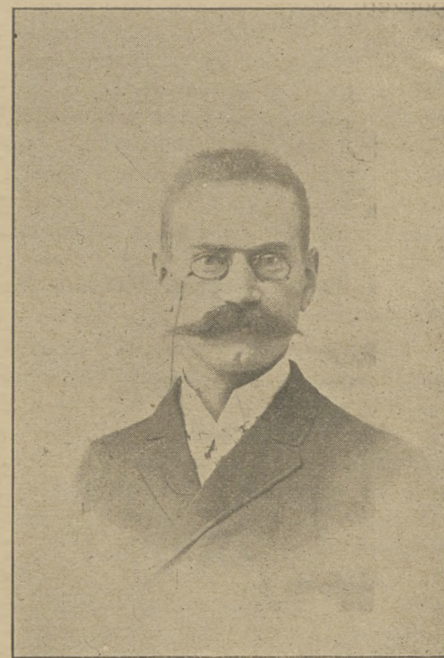
Ks. Ruszkiewicz, biskup-sufragan warszawski.

Wyrok ten był niespodzianką dla prawników, a zniewagą dla naszego narodu. Obecnie, po zgonie ks. arcybiskupa Popiela zatwierdzono ks. biskupa sufragana Ruszkiewicza jako administratora archidyecezyi warszawskiej, a wyrok, wydany przez warszawską izbę sądową na biskupa i współoskarżonych księży za udzielenie ślubu byłym maryawitom, skasowano i całą sprawę umorzono.

* * *

Hojny zapis na pomoc naukową Prus Królewskich.

W ostatnim czasie donosiliśmy o hojnym zapisie, jaki uczynił w testamencie zmarły w Chojnicach ś. p. Kazimierz Sikorski, brat p. Stanisława Sikorskiego z



Fot. Van Bosch, Frankfurt n. M.

Ś. p. Kazimierz Sikorski.

Chełmów, posła do sejmu pruskiego. Nieboszczyk, jak wiadomo, przekazał cały swój majątek, wynoszący 600 tysięcy marek, Towarzystwu Pomocy Naukowej Prus Królewskich. Dziś zamieszczamy podobiznę wielkiego filantropa, nadmieniając, że likwidacya zapisu połączona będzie z trudnościami, gdyż wzmiankowane Towarzystwo nie posiada praw korporacyjnych.

Nasze ryciny.

„Na targu na konie.“

Pisaliśmy już niejednokrotnie o twórczości malarskiej Józefa Brandta. Zamieszczając dziś w dalszym szeregu jego znakomitych utworów na karcie albumowej reprodukcyę obrazu „Na targu na konie“, powtórzyć chyba to możemy, że słynny ten artysta jest w swych utworach niedoścignionym i oryginalnym. Oryginalnym jest on więc we wszystkiem co maluje, niezmiernie, mianowicie w odtwarzaniu ludzi i koni. Cecha to jego niepospolitych twórczych sił, o czem świadczy wymownie rycina, obrazująca zaimprowizowany cyrk na końskiem targowisku.

Żywot mieć nie jest być żywym, ale być zdrowym.

Paradoksa Koronne (z Marcyala).

KRONIKA.

Kupujmy u swego i wyroby swojskie.

— **Pan Dr. Bogdan Wicherkiewicz**, lekarz-okulista, właściciel i dyrektor kliniki ocznej przy ulicy św. Marcina 6, otrzymał tytuł radzcy zdrowia.

— **Prymicye**. W poniedziałek 17-go z. m. odprawił ks. Maryan Piechowski, syn państwa Julianostwa Piechowskich, z Gliwic, w pięknie przybranej kaplicy Sióstr Elżbietanek w asyście ks. posła Styczyńskiego, ks. Gruchały oraz dwóch kleryków ofiarę pierwszej mszy św. W uroczystości wzięła udział liczna rodzina. młodego kapłana, oraz wiele publiczności tak, iż kapliczka była przepełnioną. Po uroczystości kościelnej odbył się obchód familijny w ściśle skromnem kółku w Domu Przemysłowym. Na Czytelnie ludowe zebrano mk. 40 Życzeń, przeważnie telegramów narodowych, nadesłano młodemu kapłanowi bardzo wiele z bliska i z daleka.

— **Kurs hygieniczny dla pań i panien.** Jak wiadomo ruchliwe **„Towarzystwo hygieniczne"** urządza w roku tym, jak przed 2 laty, i to od **3—15 marca** kurs hygieniczny dla pań i panien. Kurs taki ma bezwątpienia wielkie znaczenie dla naszych pań, choćby dla tego, że w niepewnych czasach obecnych zapoznanie się z zasadami hygieny i pielęgniarstwa bardzo może się przydać.

Jeśli już przed dwoma laty kurs cieszył się nadzwyczajnem zainteresowaniem pań, tak ze wsi, jak z miasta, to obecny, dzięki doświadczeniom zebranym przy pierwszym, zapewne pod każdym względem go przewyższy. Już sam spis prelekcyj — pomijając ćwiczenia w szpitalach — świadczy, jak obfity materyał znani nasi lekarze przedłożą swoim słuchaczkom.

Oto spis dotychczas zgłoszonych wykładów:

„Pielęgniarstwo a kościół". (Radca **Dr. Zielewicz.)** Anatomia i fizyologia człowieka. **(Dr. Pewlicki.)** „Jak ubierać dorastające nasze córki?" **(Dr. Łazarewicz).** Anatomia i fizyologia kobiety. **(Dr. Janina Żniniewiczówna).** Budowa, czynności i niedomogi skóry i nerek. **(Dr. Karwowski).** O chorobach zakaźnych. **(Dr. Dziembowski).** O hygienie płuc. **(Dr. Franc. Zakrzewski).** O aseptyce i antyseptyce. **(Dr. Rydlewski).** Pomoc w nagłych zachorzeniach. (Radca **Dr. Panieński.)** O uzdrowiskach dla alkoholików. (Radca **Dr. Franciszek Chłapowski).** Z dziedziny gruźlicy. **(Dr. Gantkowski).** Co matka powinna wiedzieć o objawach chorób dziecięcych. **(Dr. Adamczewski).** Choroby wewnętrzne, a skóra. **(Dr. Karwowski).** O wychowaniu fizycznem. **(Dr. T. Schultz).** O rozpoznawaniu chorób. **(Dr. Dziembowski).** Pierwsza pomoc w nagłych wypadkach chirurgicznych. **(Dr. Mieczkowski).** O barwach i ich rozpoznawaniu. **(Dr. Kapuściński jr.)** Powstawanie kalectw i zapobieganie im. **(Dr. Wierzejewski).** Hygiena jamy ustnej. (Lekarz dent. **Jaworowicz).** O zwalczaniu raka. **(Dr. Łazarewicz).** O skaucie. **(Dr. Ksawery Zakrzewski).** O klimacie górskim i morskim. **(Dr. Gandkowski).** Zasady kuchni hygienicznej. **(Dr. Franc. Zakrzewski).** Z dziedziny partactwa. **(Dr. Gantkowski).** Kurs opatrunkowy. **(Dr. Nowakowski).** Anatomia i fizyologia oka. **(Dr. Stasiński).** Klinika oczna. **(Radca Dr. Wicherkiewicz).** Choroby dziecięce. **(Dr. Krysiewicz).** Chirurgia dziecka. **(Dr. Pomorski)** etc.

Nowością nader ciekawą będzie **przedstawienie kinematograficzne,** na którem będzie można oglądać żywe bakterye, obieg krwi, walkę krwinek z zarazkami itd. Mimo znacznych kosztów Zarząd objął przedstawienie to w swym programie, by módz przedstawić najciekawsze zjawiska życiowe w sposób nader przystępny. Przedstawieniem tem zajmuje się gorliwie p. **Radca Dr. Fr. Chłapowski.**

Zgłoszenia na kurs (wstępne, przeznaczone dla ubogich chorych, **mk. 20,00** od osoby, siostra lub córka płaci połowę, członkowie Tow. hyg. **mk. 15,00)** przyjmuje sekretarz **Dr. Adam Karwowski,** św. Marcin 10 (obok kościoła). Tamże wszelkie informacye.

— **Wystawa łowiecka.** W maju roku bieżącego urządzi Towarzystwo Łowieckie trzecią wystawę łowiecką. W wystawie tej znajdą pomieszczenie wszelkie trofea myśliwskie, jako to: wieńce jeleni, szable dzików, parostki kozłów, różki kozic, kły lisów, borsuków i żbików, okazy głuszczy i cietrzewi i wszelkich pomniejszych pożytecznych ptaków, nadto wszelkich ptaków drapieżnych — jużto w całości preparowanych, lub też ich pióra i szpony.

Zgłoszenia winny nastąpić najpóźniej do 1-go kwietnia r. b. pod adresem Łowczego Tow. p. Unruga, Piotrowo p. Krzesiny (Kreising).

— **Konkurs fotograficzny.** Wydawnictwo „Łowca Wielkopolskiego" rozpisuje niniejszem konkurs na fotografie amatorskie pod następującemi warunkami:

1. Fotografie mają mieć za przedmiot sceny stojące w związku z łowiectwem. Mają zatem przedstawiać: sceny z polowań, przygotowania do łowów, naganki, zwierzynę żyjącą na swobodzie, rozkłady zwierzyny i t. p.;
2. Wielkość fotografii ma być rozmiarów 13×18 cm.;
3. Fotografie mają być wykonane na gładkim celloidynowym papierze;
4. Wyznacza się 3 nagrody, mianowicie: 30,— 20,— i 10,— mrk.

Fotografie przeznaczone do konkursu powinny być nadesłane aż do 31-go czerwca r. b. na ręce p. Janty-Połczyńskiego w Redgoszczu w stosownej kopercie, zaopatrzonej w godło lub motto, bez nazwiska fotografującego. W drugiej kopercie, w takie samo godło lub motto zaopatrzonej, ma się znajdować imię i nazwisko i miejsce pobytu konkurującego.

Redakcya „Łowca Wielkopolskiego" rozstrzyga bez apelacyi, które z fotografii się nadają do konkursu i do reprodukcyi w naszem piśmie.

Za każdą do reprodukcyi przyjętą przez siebie fotografię zapłaci Redakcya 5,— mrk.

Nad fotografiami reprodukowanemi stanowić będą sąd konkursowy czytelnicy „Łowca Wielkopolskiego" w ten sposób, że każdy z nich będzie miał prawo zdać Redakcyi opinię, która z fotografii jego zdaniem zasługuje na 1., 2. lub 3. premię. Premie udzieli się tym fotografiom, na które najwięcej głosów padnie. W razie równości głosów rozstrzyga Redakcya i to bez apelacyi.

Wydawnictwo „Łowca Wielkopolskiego."

— **Dyżur w Towarzystwie Ludoznawczem w Poznaniu** łaskawie przejęły na rok 1913 panie: w niedzielę od 12-tej do pół do 2-giej Helena Cichowiczowa tel. 3502, Neubauer Łebińska tel. 3762, Wiesława Cichowiczówna tel. 3502, Zofia Wize tel. 3502 i Kazimiera Pędzińska tel. 3502, od pół do 2-giej do pół do 3-ciej Stefania Jagodzińska — Piekary nr. 13, Leokadya Lubońska tel. 3502, poniedziałek od 12-tej do pół do 2-giej Wiesława Cichowiczówna tel. 3502, Marya Gierłowska tel. 1201, wtorek od 11-tej do 12-tej dyr. Hąciowa tel. 2012, od 12-tej do 1-szej Jachimowiczówna tel. 1205, od 3-ciej do 4-tej Ziemska ul. Królewska, środa od 11-tej do 12-tej dyr. Suchowiakowa tel. 2562, od 12-tej do 1-szej Irena Węclewska tel. 3773, od 3-ciej do 4-tej Stefania Jagodzińska — Piekary 13, czwartek od 11-tej do 12-tej Halina Robińska tel. 1987, od 12-tej do 1-szej Maryla Wyczyńska tel. 3309, piątek od 11-tej do 12-tej Neubauer Łebińska tel. 3762, od 12-ej do 1-szej Zofia Filisiewiczowa tel. 3048, prof. Michałowska ul. Naumanna 9. od 3-ciej do 4-tej, Janina Chrzanowska ul. Pokojowa 19. sobota od 11-tej Dr. Sowińska W. Garbary 5.

Towarzystwa pragnące naukowych objaśnień prosimy zgłaszać się telefonicznie albo listownie do pań dyżurowych.

Do jaknajczęstszego zwiedzania zbiorów T. Lud. gorąco zachęcamy zwracając uwagę na motto T. L:

Obce rzeczy znać dobrze jest, — swoje obowiązkiem.

— **W Towarzystwie Ludoznawczem** są do nabycia pocztówki z widokami pałaców, dworków, parków i kościołów wielkopolskich, które łaskawie ofiarował na cele Towarzystwa Ludoznawczego znany zakład fotograficzny p. Durczykiewicza z Czempinia.

Również zwracamy uwagę na piękne album „Dwory we Wielkiem Księstwie Poznańskim" (dar i wykonanie zakładu p. Durczykiewicza) wystawione w jednej z witryn na drugiem piętrze Towarzystwa Ludoznawczego, które można nabyć w księgarni Niemierkiewicza.

— **Nasze banki. Bank ludowy w Janówcu** wydał czternaste sprawozdanie za rok 1912. Obrot wynosił 1,765,645 marek. Bilans 1,020,891 marek. Do dyspozycyi walnego zebrania pozostało 9,127 marek. Członków na rok 1913 przeszło 538. Zarząd tworzą: ks. proboszcz Noak dyrektor, p. Lorenczewski skarbnik, p. Krygier kontroler. Prezesem rady nadzorczej jest ks. prob. Gierłowski. Walne zebranie banku odbyło się dnia 20-go z. m.

— **Bank ludowy w Inowrocławiu** wydał czterdziesto piąte sprawozdanie z czynności za rok 1912. Ogólny obrót wynosił 64 634 918,62 marek. Bilans 7 935 656,59 marek. Do dyspozycyi Walnego Zebrania pozostała kwota 167 899,09 marek. Członków na rok 1913. przeszło 1893. Zarząd tworzą pp. J. Grosman, F. Niklewski, M. Okoniewski. Prezesem Rady nadzorczej jest p. dr. Józef Krzymiński. Walne zebranie banku odbyło się dnia 26-go z. m. o godz. 11-tej przed południem na sali hotelu Basta.

— **Bank ludowy w Pleszewie** wydał czterdzieste pierwsze sprawozdanie z czynności za rok 1912. Ogólny obrót wynosił 13 409 568,21 mk. Bilans 4 482 504,20 mk. Zysk do dyspozycyi Walnego Zebrania 35 409,87 mk. Członków przeszło na 1913 rok 1 963. Skład Zarządu: Dr. Wojciech Likowski dyrektor, Franciszek Gdeczyk podskarbi, Stanisław Mocek kontroler, wybrani na czas nieograniczony. Prezesem Rady Nadzorczej jest ks. proboszcz Kazimierz Niesiołowski. Walne Zebranie Banku odbyło się dnia 25-go z. m.

— **Drugi kurs przygotowawczy do egzaminów czeladniczych i majsterskich dla rzemieślniczek.** Wobec rozszerzenia prawa o egzaminach rzemieślniczych na kobiety, zatrudnione w rzemiośle, które na równi z rzemieślnikami będą musiały składać egzamin czeladniczy i majsterski;

Zarząd Główny Związku katolickich Stowarzyszeń Kobiet pracujących pragnie urządzić kurs przygotowawczy do tych egzaminów, o ile zgłosi się do kursu dostateczna liczba uczestniczek.

Kurs trwać będzie przez 5 dni, od wtorku, 25-go marca, do soboty, 28-go marca.

Wykłady odbywać się będą przez cały dzień od godziny 9-tej rano do 12-tej w połu-

dnie i po południu przez dwie lub trzy godziny na salce Dominikańskiej, a obejmować będą tak zwaną część teoretyczną egzaminu.

Zgłoszenia na kurs należy nadsyłać w przeciągu dwóch tygodni, a więc aż do 9-go marca.

Do zgłoszeń należy dołączyć:

1. życiorys własnoręcznie napisany,
2. poświadczenie ks. patrona lub wicepatrona, iż zgłaszająca się należy do związkowego Stowarzyszenia,
3. wzmiankę, czy biuro naszego Związku ma postarać się dla niej o mieszkanie, lub czy też kandydatka zamieszka u krewnych, znajomych.

Na kurs mogą się zgłosić także rzemieślniczki, nie należące do żadnego związkowego Stowarzyszenia, składają jednakże opłatę za kurs w wysokości 5 marek.

Oprócz podróży koleją uczestniczki kursu zamiejscowe ponieść będą musiały koszty utrzymania w Poznaniu przez 5 dni, które wyniosą mniejwięcej 10 marek. Biuro Związku jednakże, jak tylko odbierze zgłoszenia, starać się będzie o jak najtańsze mieszkania. Zgłoszenia należy nadsyłać pod adresem: „Gazeta dla Kobiet", Poznań (Posen), ulica św. Marcina 69.

Dla sprawy tak ważnej, gdzie chodzi o uregulowaną pracę na całe życie i zapewnienie sobie wszystkich korzyści, które nadają egzaminy czeladnicze i majsterskie, warto podnieść te drobne koszty i na kurs niezwłocznie się zgłosić.

Zarząd Główny Związku Kobiet pracujących.

Nekrologia.

† Ś. p. **Tomasz Hejnowicz**, proboszcz-jubilat w Czerwonejwsi, senior dekanatu śmigielskiego, były kapłan z Zgromadzenia ks.ks. Filipinów zmarł dnia 20-go z. m. — **Ś. p. Bronisław Raczkowski**, dnia 18-go z. m. w Poznaniu. — **Ś. p. Bolesław Jeske**, tajny radzca rejencyjny, dnia 18-go z. m. w Charlottenburgu w 64-ym roku życia. Pogrzeb odbył się w Poznaniu dnia 22-go z. m. — **Ś. p. August Rezler**, dnia 19-go z. m. w Karczynie, przeżywszy lat 78. Pogrzeb odbył się w Górze dnia 24-go z. m. — **Ś. p. z Jędraszkiewiczów Zofia Cerkaska**, dnia 19-go z. m. w Mogilnie. — **Ś. p. Franciszka z Arndtów Bielicka**, dnia 10-go z. m. w Warszawie w 84-ym roku życia. — **Ś. p. Bolesław Silski**, dnia 20-go z. m. w Kórniku w 38-ym roku życia. — **Ś. p. Feliks Górski**, mistrz ślusarski, przewodniczący wspólnej miejscowej kasy chorych nr. 6, dnia 20-go z. m. w Poznaniu w 53-im roku życia. — **Ś. p. Władysław Schmidt**, mecenas, dnia 22-go z. m. w Poznaniu, przeżywszy lat 55. — **Ś. p. Michalina z Gustowskich Promieńska**, długoletnia właścicielka cukierni przy Piekarach, dnia 22-go z. m. w Żninie, przeżywszy lat 59. — **Ś. p. Piotr Grzesiak**, długoletni urzędnik Zjednoczenia Zawodowego polskiego, dnia 18-go z. m. w Bremenie w 39-ym roku życia. — **Ś. p. Łucya Zielińska**, dnia 20-go z. m. w Bydgoszczy, przeżywszy lat 15. — **Ś. p. Aniela Rutter**, dnia 20-go z. m. w Poznaniu. **Ś. p. Włodzimierz Kruszka**, kandydat medycyny, 21-go z. m. w Wrocławiu w 24-ym roku życia. — **Ś. p. Władysław Mutt**, dnia 19-go z. m. w Poznaniu, przeżywszy 61 lat. — **Ś. p. Jan Duliński**, dnia 22-go z. m. w Gnieźnie, przeżywszy lat 87. — **Ś. p. Wincenty Dziel**, dnia 23-go z. m. w Gnieźnie, przeżywszy lat 68. — **Ś. p. Antoni Rutkowski**, dnia 23-go z. m. w Bydgoszczy w 79-ym roku życia. — **Ś. p. z Górnych Scholastyka Orzechowska**, dnia 22-go z. m. w W. Komórsku w Prusach Zach. w 60-ym roku życia. — **Ś. p. z Olejniczaków Józefa Strojna**, dnia 23-go z. m. w Czerlejnie, przeżywszy 24 lata. — **Ś. p. z Wybickich Stanisława Jarochowska**, dnia 24-go z. m. w Montowie, przeżywszy lat 61. Pogrzeb odbył się w Grodzicznie, dnia 27-go z. m. — **Ś. p. Kazimierz Dąbrowski**, dnia 24-go z. m. w Żytowiecku, przeżywszy lat 72. — **Ś. p. Władysława z Brodzkich Potrawska**, dnia 24-go z. m. w Poznaniu. — R. i. p.

Od Redakcyi.

— **Panu Romanowi W. w N. na obczyźnie.** —Bóg zapłać za następujące serdeczne słowa uznania: „Niech żyją tak dzielni Panowie, którzy redagują „Pracę!" Dziękuję Szan. Panom za wszystkie korzyści, które osiągnąłem przez czytanie tego pożytecznego pisma. Więc cześć Wam Panowie i życzę nadal świetnego rozwoju takiemu szlachetnemu i pożytecznemu pismu, jakiem jest „Praca.""

— **„Samoukowi" na obczyźnie.** — Pauperyzm, z łacińskiego, jest to ubóstwo wielkich mas ludności, któremu przeciwdziałać przez rozumną dobroczynność i opiekę nad biednymi jest obowiązkiem społeczeństwa. Pauprami nazywano niegdyś biednych uczniów w Polsce, którzy utrzymywali się z posług kościelnych lub jałmużny.

— **Panu K. B. w Poznaniu.** — Dziękujemy za pamięć, ale z powodu nawału wierszy już do druku przeznaczonych nie możemy zamieścić.

Reklamy.

— **Na czasie.** Zwraca się uwagę na anons pospiesznej nauki kroju, systemu p. Zofii Szuman, przez ces. urząd patentowy prawnie zastrzeżonego. System ten jest tak uproszczony, że osoby nie mające pojęcia o rysunku mogą w kilku dniach wyuczyć się nietylko kroju bluzek i staników, ale nawet żakietów. Wobec wzrastających ciągle cen za garderobę damską, wynalazek ten wielkie oddaje przysługi praktycznym paniom zajmującym się osobiście wykończeniem swojej garderoby.

Na nadchodzący sezon wiosenny i latowy, kiedy to wszystkie składy bławatne, wyprzedają za bezcen materyały, osoba umiejąca sama skombinować i wykończyć sobie sukienkę, może nawet w tych drogich czasach, za śmiesznie nizką cenę, elegancko i wytwornie się ubrać.

Jako praktyczny poradnik przy zakupie materyałów, niezbędnym dla osób chcących się dobrze ubierać, jest podręcznik „Co krawcowa wiedzieć powinna". Podręcznik nabyć można we wszystkich księgarniach, jako też w szkole p. Zofii Szuman, Poznań, ul. Wrocławska 26.

Nadesłano.

— **Katalog gazet**, wydany przez firmę **Rudolf Mosse** (ekspedycya anonsów) w Berlinie, to oczywiście niezawodny przewodnik w szerokiej dziedzinie spraw anonsowych; zawarty jest w nim wszelki informacyjny materyał, najstaranniej zebrany, dotyczący ogłoszeń, a dołączona do katalogu normalna miara oryentuje najdokadniej czytelnika-inserenta. Jest to z rzędu 46 piękne wydanie, do którego jest także dołączony kalendarz do notatek, mapa do pisania i t. d.



Kobieta, która siebie samą przeżyła.

Wdowa po ostatnim cesarzu Francuzów nie należy już do osób, któremi się zajmuje historya. Dużo lat minęło od chwili, w której pozbawiono tronu męża i ją, a jeżeli miała pomimo to jeszcze jakie życzenia i ambitne nadzieje, to wszystko znikło w tej okropnej godzinie, w której życie zakończył jej syn jedyny, ukochany Lulu. I od tej godziny przestała nieszczęśliwa cesarzowa i nieszczęśliwa matka istnieć dla polityki.

Namiętne zarzuty, jakiemi ją niegdyś formalnie zasypywano, ucichły już oddawna. Uznano, że nie była winną, że wszystko zło, jakie miała popełniać, było kłamstwem i wymysłem jej nieprzyjaciół. Historya wydała sąd o niej, a sąd ten, sprawiedliwy, o wiele lepszym, łagodniejszym i względniejszym jest niż sąd współczesnych jej przeciwników.

Nie wiele dziś już ludzie piszą i mówią o cesarzowej Eugenii. Stara, 86 letnia matrona, nie zdejmująca już nigdy żałobnej sukni i długiego welonu wdowiego, zbliża się ku końcowi życia, zapomniana i niekochana przez nikogo. Niegdyś najpiękniejsza w świecie kobieta, uwielbiana małżonka cesarza, jaśniejąca w cesarskiej koronie urodą i dowcipem, otoczona blaskiem i szczęściem, zdawała się być prawdziwą wybranką losu.

A teraz? Jak znosi wszystko, co ją w życiu spotkało?

Na pytania te odpowiada najlepiej Lucyan Alfons Daudet w swem najnowszem dziele: „L'imperatrice Eugenie". Jako syn sławnego powieściopisarza francuskiego Alfonsa Daudeta był ulubieńcem cesarzowej, bawił nieustannie na dworze, wychował się pod jej opieką i uważa ją dziś jeszcze za swoją drugą matkę. On więc opowiada nam, jaką cesarzowa jest dzisiaj, jak żyje i czem się głównie zajmuje.

Od czasu, kiedy „wszystko minęło" mieszka Eugenia przeważnie w Farnborough-Hill, zamku leżącym tuż przy Londynie. Jest to wspaniały i obszerny gmach, o wieżach i wieżyczkach, o balkonach i basztach, otoczony z wszystkich stron trawnikami i rabatami kwiatów. Dalej znajduje się park, który cesarzowa na pamiątkę swego dawniejszego ulubionego miejsca pobytu nazwała: Compiègne.

Każdy przedmiot w Farnborough-Hill miałby dużo do opowiadania. Zaraz przy wejściu do marmurowego Hall znajduje się sławny obraz Winterhaltera, przedstawiający cesarzową na tle wiosennego obrazu w otoczeniu swych dam dworskich, najpiękniejszą z najpiękniejszych, w całej pełni młodości i szczęścia. W „salonie recepcyjnym", w „salonie księżniczek", w „salonie dam", w „salonie Greuza", i t. d., słowem wszędzie — są obrazy, które wisiały niegdyś w pałacu Tuilleries — portrety Napoleona III w stroju koronacyjnym, w koronie i płaszczu cesarskim, portrety Eugenii w najrozmaitszych kostyumach i pozach, portrety księżnej Alba, jedynej i przedwcześnie zmarłej siostry Eugenii i w końcu portrety księżnej Mouchy, z domu Murat, którą Eugenia tak kochała, że kupiła jej wyprawę i wyposażyła jak własną swoją córkę. Lecz najliczniejszemi są obrazy i portrety, przedstawiające księcia Lulu w wszelkich możliwych fazach jego krótkiego życia na świecie — począwszy od cesarzewicza w białej sukience, przepasanej białą wstążką Legii honorowej aż do ostatniej fotografii, którą kazała zrobić przed wyjazdem swoim do Afryki. Wszystkie pamiątki po nim zgromadzone są w pokoju cesarzowej — która tam spędza większą część dnia — tam pisze, czyta, przyjmuje wizyty i wychodzi jedynie do sali jadalnej na obiad i kolacyę, gdy wszyscy domownicy już się tam zeszli.



Cesarzowa Eugenia w ówczesnym stroju



Cesarzowa Eugenia w stroju oryentalnym.

Lucyan-Alfons Daudet opisuje to w następujący sposób:

„Godzina obiadu nadeszła. Goście w Farnborough-Hill schodzą z szerokich schodów. Zegar w Hall uderza ósmą. Dźwięk gongu rozlega się. I drzwi pokoju cesarzowej otwierają się... Pragnąłbym, aby czytelnicy ujrzeli w tej właśnie chwili cesarzową po raz pierwszy, żeby się przekonali, jak idzie prędko i zręcznie w swej długiej, czarnej, jedwabnej sukni. Zbliżając się, podpiera twarz ręką, albo też schyla czoło, jak gdyby pod ciężarem jakich myśli lub wspomnień. Potem podnosi głowę i uśmiecha się. Uśmiecha się nawet i wtenczas, gdy łzy cisną się do oczu..."

Klasyczne, szlachetne rysy jej twarzy stawiły opór wszystko niszczącemu czasowi. Twarz jej jest blada, jak z kości słoniowej wyrzeźbiona, mała, wązka, i nieomal przezroczysta, lecz żadna linia nie jest zatartą i nigdzie nie widać śladu tak podeszłego wieku. Rzeźwość swoją zawdzięcza cesarzowa głównie ściśle uregulowanemu sposobowi życia i przechadzkom codziennym bez względu na deszcz, wiatr, zimno lub upał. Zachowała też całą świeżość umysłu. Srogie nieszczęścia, jakie na nią spadły, nie zdołały zmienić ani jej powierzchowności ani przygnębić jej usposobienia. Jest ona zawsze jeszcze namiętną, żywą Hiszpanką, która nie pozwala nikomu ubliżać sobie. Przed kilku naprzykład laty, podarowała miastu Marsylii kawał ziemi pod warunkiem, że stanie tam dom dla chorych. Radni miasta postanowili nazwać ją w dokumentach tego domu „wdową Bonaparte," lecz cesarzowa, dowiedziawszy się o tem, zagroziła, że cofnie podarunek, jeżeli jej nie napiszą jako: „Jej Cesarska Mość Eugenia, wdowa po Jego Cesarskiej Mości Napoleonie III". I tak się też stało.

A gdy przypadkiem wpadnie jej w ręce jaki artykuł, ubliżający jej zmarłemu mężowi lub jej samej, wtedy spadnie może kilka gorących łez na papier. Płakać już nie umie — siłą woli zwalcza wszelką słabość uczucia i nie żąda litości. Lecz nie ulega wątpliwości, że myśli jej zwracają się nieustannie do tego, co było...

Jednakże nikomu z jej otoczenia nie wolno wspomnieć jakiejś daty lub winszować urodzin!

Znajomi sądzą, że serce jej przepełnione jest goryczą i że uczucie zupełnie już stępiało. Lecz Daudet zaprzecza temu stanowczo. Cesarzowa bardzo jest dobroczynną, chociaż nigdy o swych dobrych uczynkach nie mówi. Każdą pocztą przychodzi mnóstwo listów z prośbą o wsparcie, dużo nawet naiwnych ludzi z Francyi, nie troszczących się o politykę i o to, jakie zmiany zaszły w ży-

ciu Eugenii, prosi ją o urzędy w państwie, chociażby i najniższe!

Polityką zajmuje się cesarzowa bardzo żywo, tak samo jak i literaturą. Najnowsze dzieła historyczne znajdują się zawsze na jej stoliku, „bo trzeba", jak mówiła do Daudeta, „żyć zawsze z biegiem czasu".

Jako postać historyczna, przeżyła Eugenia samą siebie. Nic już nie wiąże jej z tym czasem, którego najświetniejszą bodaj gwiazdą ona sama była. Dziś jest ostatnią z owego czasu. Nowe pokolenia wyrosły, pokolenia, dla których imie jej żadnego nie ma znaczenia. Sposób, w jaki poddała się przeznaczeniu, nacechowany jest wielkością i szlachetnością, nie każda w jej położeniu odsunęłaby się od tak dawna od świata i ludzi. Nawet najzaciętsi jej nieprzyjaciele uznali to i wspominają ją dziś z należytym szacunkiem. Cesarzowa Eugenia należy do tych kobiet, które kilka lat szczęścia okupić muszą całem życiem smutku i niedoli — jedna więcej w szeregu koronowanych męczennic!



Poeta-Sobie.*)

Kiedyś... gdy się już z życia rozliczę,
Gdy opłacę com winien, co dano —
Gdy dla siebie jeno zapożyczę
Szmatka ziemi z grudką poświęcaną —
Chciałbym bardzo i bardzobym prosił,
Aby za mną nikt żalu nie nosił.

Chciałbym bardzo... by jak po weselu
Od cmentarka szli ludziska tłumnie
W kwietnych wiankach o pachnącem zielu —
Niechby grajek uciął przy mej trumnie,
Niechby echa rozległy radosne
Na złocisty maj! na wieczną wiosnę!

Niechby, gdy się mogiłka wykopie,
Niechby po niej szło dobre a swoje...
W polach było zboża snop na snopie —
Niechby mlekiem falowały zdroje!
Niechby — o czem marzyć nadaremno —
Do mogiłki zstąpiło wraz ze mną.

Niechby społem się w grobek pokładło
To, co żywym bólem a tęsknicą,
I to, czego serce nie odgadło,
I to, czego myśli nie pochwycą —
Niechby wszystko spało pod mogiłą...
Jeno dola! jeno szczęście było!

Niechby... kiedyś na mogilnych piaskach
Taką skibę wyorały sochy,
Aby słonko o różanych brzaskach
Wpadło — moje prześwietliło prochy,
Bym posłyszał gwar radosny, bratni
Że ja z smutnych odszedłem ostatni!

Więc — kiedy się z żywota rozbiorę,
Gdy odpłacę co komu, co czyje —
Gdy mogiłki jeno zapożyczę —
Będę jeszcze — póki serce bije,
Boga... ludzi bardzo... bardzo prosił,
By się po mnie nikt z żalem nie nosił!

Kazimierz Laskowski (El.)

*) W spuściźnie po zgasłym w d. 29 stycznia piewcy ludu i ziemi polskiej, ś. p. Kazimierzu Laskowskim (Elu) pozostał prześliczny wiersz, stanowiący niejako ostatnie życzenie autora. Wiersz ten był w posiadaniu redakcyi „Kuryera Warszawskiego", która zapoczątkowała zebranie funduszu na kształcenie sierot po zmarłym.



Walka kwiatów w Nicei.

Dla mieszkańca Północy, zwiedzającego po raz pierwszy Rivierę, nie ma większej niespodzianki nad tę, którą znajduje na samym wstępie do Nicei. Śnił może w nocy o śniegiem pokrytych dachach swej ojczyzny, wychodząc zaś z dworca, widzi przed sobą kwiaty i rośliny podzwrotnikowe! Niejeden stawia sobie w pierwszej chwili pytanie, czy może przez omyłkę nie zajechał do Afryki i nie zdziwiłby się, gdyby jaki czarny poługacz obładował się jego kuframi!

Ale posługacz hotelowy, ofiarujący nam tak uprzejmie omnibus, przywołuje nas do rzeczywistości. Po niezmiernej uniżoności tego człowieka, ubranego w mundur, przeładowany złotem, poznajemy, że jesteśmy jeszcze w Europie bajecznie ważną osobistością.

Takich ważnych osobistości przybywa w lutym jeszcze około stopięćdziesiąt tysięcy do Nicei i sąsiednich miejscowości, pomimo, że wrażenie Afryki na dworcu nie trwa długo. Pierwszego zaraz dnia widzi każdy cudzoziemiec, że cała roślinność tutaj jest importem zbytku i uprawą oranżeryjną na wolnem powietrzu, którą, dzięki korzystnemu klimatowi, potrafią zręczni ogrodnicy rozwinąć tak, że łudząco staje się podobną do rzeczywistości.

W tej zachwycającej krainie można się zresztą łatwo wyrzec stref podzwrotnikowych. Kto już nie może się obejść bez przechadzania się w cieniu drzew kawowych, bez spotykania nosorożców i bez nadeptywania na aligatory, ten niech jedzie do Kamerunu, albo dalej jeszcze, kto jednak woli widzieć piękne kobiety z tej i z owej strony Atlantyku, kto lubi wyrafinowaną, kosmopolityczną elegancyę, wesołe twarze, a przedewszystkiem, kto spotyka czasem liczbę szczęścia na rulecie w Monte, ten nie zabawi się nigdzie tak jak podczas karnawału w Nicei.

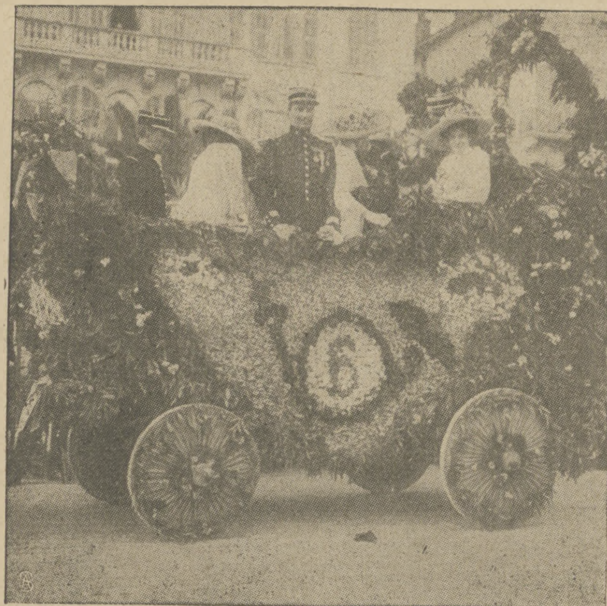


Powóz, na którym urządzono altanę z róż podczas walki kwiatowej.

Karnawał w Nicei, zastępujący dawny, słynny, lecz w lagunach już zatopiony, karnawał wenecki, dzieli się na rozmaite, ważne rozdziały. Najważniejszym i najhałaśliwszym jest wielki pochód masek i następny potem bal w kasynie. Niektórzy wolą walki kwiatów, które stósownie do długości karnawału staczane bywają dwa albo cztery razy na wspaniałej promenadzie des Anglais. Wesołość jest tu o wiele wytworniejszą i fantazya nie wyczerpuje się jedynie na mniej lub więcej waryackie przebrania i maski. Wszystkie te zabawy są jednak dlatego tak porywające, że Nicea ukazuje się tu w najpiękniejszej swej szacie, to jest w cudnej koronie kwiatów! Kwiaty są niewyczerpanym i największym skarbem Riviery i jej stolicy. I ten skarb rozrzuca Nicea hojnemi rękami podczas każdej walki kwiatowej!

Wojenne to słowo nie zupełnie odpowiada rzeczywistości. Publiczność rzuca się wprawdzie kwiatami, za won-

nemi pociskami biegną ogniste spojrzenia i słodkie uśmiechy, tak, że niejeden pocisk staje się niebezpiecznym. Ale nie walka jest rzeczą główną, jest nią raczej obraz, jaki przedstawia, obraz będący prawdziwą rozkoszą oczu. Nie ten zwycięża, kto najwięcej rozrzuca kwiatów, tylko ten, kto najświetniejszy miał rynsztunek. Zbytek, który jak w wszystkich zabawach tak i w tej do najwyższego dochodzi stopnia, znajduje od kilku lat nowe pole działalności i



Zwycięzcy w walce kwiatowej.

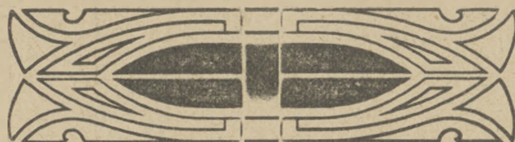
to w uzyskaniu automobilu celem służenia kwiatom; Auto przybrane kwiatami wskazuje, jak pięknie zadanie to rozwinięte być może. Jest to tryumf poezyi nad prozą techniki!

Ale właściwie uwydatnia się poezya najlepiej tam, gdzie piękna kobieta, siedząc na kwiecistym tronie w swej świątyni, zbudowanej także z kwiatów, kieruje zręcznie ognistemi rumakami i eleganckim powozem, tonącym w kwiatach. Trudno uwierzyć, jak silnie umieją trzymać lejce małe i białe ręce wytwornych pań! Albo jeżeli ta sama kobieta potrafi, w towarzystwie oficerów przywołać nam na pamięć stare, mitologiczne przymierze broni Marsa i Wenery! Możnaby nawet Marsa wykreślić — nikt by po nim łzy nie uronił, Wenus sama wystarcza zupełnie.

W tych bowiem walkach odgrywają mężczyźni bardzo podrzędną rolę. Gdzie okiem sięgnąć, wszędzie powozy i automobile, najważniejszem zaś jest pytanie, gdzie, wśród kwiatów, najpiękniejsza znajduje się kobieta? I słusznie.

Bo kobiety i kwiaty należą do siebie tak jak niebo i gwiazdy!

Błędnem jest twierdzenie, że głód, to najlepszy kucharz; przeciwnie, głód, to najgorszy kucharz, bo sam wszystko zjada.



Dział kobiecy.

Szyk.

Wysokie, à giorno oświetlone salony, miła i ciepła atmosfera, dyskretna woń angielskich perfumów i podniecający aromat mokki. Miękkie dywany, wygodne fotele, a nad tem wszystkiem lekkie, błękitne chmurki dymu papierosów — to jest szyk! Służba w czerwonych frakach, o manierach prawdziwych gentlemanów, półgłośna rozmowa, cichy śmiech, to szyk!

Modne hotele z wspaniałemi hallami tworzą stylowe tło dla malowniczych obrazów wykwintnego towarzystwa — wszystko to wygląda jak obraz z dawniejszych, wesołych czasów, jak wizya z świata pełnego wdzięku i swobody. Wszystko tchnie gracyą minionych wieków i ówczesną „złotą lekkomyślnością." Tymczasem — jest to tylko jeden wieczór spędzony w wielkim, wytwornym i modnym hotelu, urządzonym z szykiem i zbytkiem. Słodkie melodye najnowszego walca, piękne tualety dam — blask brylantów — i blask czarnych i błękitnych oczu — wszystko to łączy się w harmonijną całość, w szczyt najwyższej elegancyi i szyku.

Cichy szelest wachlarzy przerywa tu i owdzie rozmowę. Ogniste spojrzenia i uśmiechy ranią serca męskie; drobne nóżki, obute w pantofelki Pompadour uderzają lekko takt walca. Wszędzie piękność i szyk.

Nie ma nic piękniejszego jak towarzystwo eleganckich kobiet wielkiego świata, ale być „kobietą szykowną" to wcale nie tak łatwo. Trzeba się taką już urodzić — szyku bowiem nauczyć się lub go sobie przyswoić, nie każdej się udaje. Albo się szyk ma, albo go się nie ma.

Co jest szyk?

Jest to coś nieokreślonego, coś, czego żadną miarą opisać nie można. Jest to coś równego owemu tajemniczemu w matematyce, coś niewidzialnego, a dającego kobiecie miano wytwornej i eleganckiej. Wiemy bardzo dobrze, kiedy kobieta jest doskonałym obrazem wdzięku, dyskretnego zbytku i szyku, ale nie wiemy, ile jej na to potrzeba było studyi, fantazyi i pracy, aby wywrzeć wrażenie naturalnej harmonii. Mówimy tu o kobietach, którym szyk nie jest wrodzony.

Począwszy od nienagannego obuwia aż do indywidualnej szpilki do kapelusza — od duńskiej rękawiczki aż do stylowego pudełka do pudru w ręcznej torebce — wszystko musi być stósowne, odpowiednie, aby mogło całości nadawać charakter i barwę. Są panie, które się ubierają w suknie od Pacquina a używają grubych, płóciennych chustek do nosa. Te panie nie mają pojęcia o szyku — brak im zmysłu wytworności. Zważają tylko na pojedyńcze części tualety. Są panie, które noszą paryskie kapelusze i bawełniane pończochy — nie osiągną one nigdy miana „kobiety z szykiem."

Towarzystwa wieczorowe, mianowicie zaś five ocloki w wielkich, wspaniałych hotelach są prawdziwą wystawą pięknych, młodych, bogatych i szykownych kobiet. A jak się panie nawzajem krytykują! Jedno spojrzenie, jeden uśmiech, trochę szyderczy lub wyrażający politowanie — i już rywalka wie, że nie wywarła pożądanego wrażenia! Ile uśmiechów tyle sztyletów godzących w próżność — przyjaciółki. Panie szepcą, śmieją się, piją herbatę i zajadają słodkie ciastka, szarpią ostremi, białemi ząbkami nieszczęśliwe ofiary, nie mające szyku. Lecz wszystko dzieje się w dobrym tonie i w dowcipnej rozmowie, przeplatanej naturalnie obficie francuskiemi frazesami.....

Wrodzony szyk — to dar wielki, jakim natura obdarza kobietę, i szczęśliwa, która go posiada — szyk wyrobiony z czasem staje się łatwo przesadą i zamienia się w karykaturę. Dlatego ostrożnie z naśladowaniem!

Empa.

Jak nie masz metalu tak twardego, któregoby ogień nie zmiękczył, tak nie ma sprawy złej do tego stopnia, żeby jej pieniądz nie naprawił. Złoto zmusza nawet umarłych do mówienia, a bez pieniędzy nie można niemowom nawet nakazać milczenia.

*Pan Przyjemski.**)

(Podanie ludowe.)

Cudo! cudo! jest w Koźminie.
Pan Przyjemski w trumnie leży;
A choć wkrótce już wiek minie,
Przecież zawsze czerstwy, świeży.

Groźna postać, wąs obfity,
Lica pełne i rumiane,
Kontusz, żupan i pas lity,
Wszystko jakby wczoraj wdziane.

Zkąd to cudo? ztąd dowodnie,
Że tam klasztor obdarował,
Żył wciąż z boskiem prawem zgodnie,
Za kraj, wiarę swą wojował.

Ztąd to życie tak zwodnicze
I ten wyraz wojownika,
Że choć trupie już oblicze,
Jeszcze trwogą lud przenika.

Tak on wielką cześć tam budzi,
Że i tknąć się go nie ważą;
Lecz nie trudno o złych ludzi,
Co najświętszą rzecz znieważą.

Przybył Niemczyk płochy, dumny,
Niewierzący w prawdę cudu,
I zbliżywszy się do trumny,
Zaczął szydzić z trwogi ludu.

Śmiał się z trupa, bluźnił, broił,
Jakby w czarta się przeradzał,
Z pasem, kordem, żarty stroił,
I na bakier czapkę wsadzał.

Lecz gdy tak się nad nim srożył,
Że aż wąsy targnął siwe,
Trup się wzruszył i roztworzył
Oczy wielkie i straszliwe.

I tak ostry i tak srogi
Wbił mu w duszę gniew źrenicy,
Że nasz Niemczyk skościał z trwogi,
I z grobowej zbiegł ciemnicy.

I biegł, przebiegł staj tysiące,,
Leciał zbladły, zadyszały;
Lecz mu wszędzie te iskrzące
Oczy drogę zabiegały.

I znów leciał w las głęboko,
Gdzie go pędził strach nadziemski;
Lecz i tam mu oko w oko,
Patrzył straszny pan Przyjemski.

Pędził z burzą i wichrami
Przez wsie, miasta, góry, rzeki;
Aż nakoniec za morzami
Gdzieś tam znalazł zgon daleki.

Lecz i wtenczas, gdy mu lice
Śmierć bieliła, krzepło ciało —
Jeszcze jakby dwie gromnice
Dwoje przed nim ócz gorzało!

M.

*) Wiersz wzięty z rocznika piątego (1838 roku) leszczyńskiego „Przyjaciela Ludu“, czyli „Tygodnika potrzebnych i pożytecznych wiadomości.“ Pismo to było znakomicie redagowane. Przyp. Redakcyi.



Z litewskiego Olimpu.

II.

Rogi Poklusa.

W nieprzejrzanym, przeolbrzymim, litewskim borze kapłanka Marti ognisko żniczowe podsyca polanem. Starszyzna myśliwska pije miód lipcowy z bawolich rogów raz wraz lejąc złoty napój w żarłoczne płomienie na ofiarę bogom. A że płomienie radośnie buhają, więc myśliwi mają wróżbę na łowy pomyślną. Ważna taka wróżba, szykują bowiem trudną i niebezpieczną wyprawę na żubry, zbroją się zatem w proporce, zaopatrzone w kamienie, w łuki ostrostrzałowe, w drewniane dzidy i wielkie topory, odziani już to w lisiury, już to w kudlate kołpaki. Marti objawia im łaskę bogów i pomyślności życzy łowcom wszystkim. Ci otuchy pełni spieszą już drużyną w gęstwinie się gubiącą. Jako też wnet zniknęli z przed oczu kapłanki, tylko oddalające się coraz więcej głosy i suchy trzask łamanych gałęzi słychać było. Ale i te odgłosy wnet ucichły a niewielką polankę olbrzymiego boru otoczyła cisza tajemnicza, nawet smolne drzewo na ognisku zwolna gorzało w sobie bóstwom w niemym hołdzie. Marti wyciągnąwszy ręce ku niebu modliła się do gromowładnego o szczęście dla litewskiej ziemi i jej ludu.

Naraz szyderczy głos przerwał jej modły.

To Poklus legł w szparze cokołu ogniska pod skośnie ściętą kamienną powałą, szczerzył gębę dziko i lizał krople lipcowego miodu ciekące cieniutkiemi złotemi nitkami po kamieniu.

Marti struchlała na to urągowisko, Zmartwiała prawie na widok bezczelnej kradzieży ofiar poświęconych bogom. Zły duch potrafił czujność jej oszukać i wkraść się podle pod ołtarz ofiarny i szydził bezprawnie.

— Wszystko, co cięży swą wagą ku ziemi, to moja własność, czemuż gromowładny nie da się wznosić tym winnym oparom, tylko pozwoli im ściekać powoli wprost w moją gębę, snać syty wszechofiar.

Kapłanka schwyciła za dębową kłodę i wszystką mocą dwojga silnych ramion mierzyła w Poklusa, lecz ten zwinnością swą wszechobrotną zaradził, zręcznie się z pod ciosu wyślizgując, aż uderzył w powały ołtarza.

— Marti swych dobrych bogów ognisko rozwala — szydził Poklus. — A to się Perkun nowością ucieszy, gwiazd może kilka spuści na ratunek, a jabym one niby miody połknął i w mojem wnętrzu blaski ich roztopił. Jużem w podziemiach żądzą tak się schłopił, że się z szlachecka nie umiem obchodzić, wszystko, co widzę, chcę zjeść, spalić, pobić. I tobą chciałbym me piekła ozdobić, przepiękna Marti, bogi cię mają za niewolną sługę a w mem królestwie siadłabyś na tronie, w dusz zagrabionych żyjącej koronie...

— Milcz podły bluźnierco, nie za tem ja gonię, na chwałę bogów ten święty żnicz płonie, znikaj, przepadaj klęty przez Perkuna duchu, twe słowa — gady — nie warte posłuchu.

— Ha! prześladuje mnie Perkuna łaska, czemu on mnie piorunem nie trzaska, po co mi dawał moc...

— Nie bluźń, żywioł piekielny jest ci także karą, ty pośród niego pełzającą marą... Chwała ci Perkunasie, już ofiarników widzę dążących tu zdala. Deptana złą stopą borna ta polana, nie warta dłużej przeświętego ognia gościć...

Gdy to mówiła zły duch zniknął nagle, ani spostrzegła kędy się ulotnił a jakieś krzyki posłyszała zdala, to chór ofiarników narzekał: Zły duch porwał ofiarne trzody, bochny chleba z zbóż, jagody; ubogi lud do żnicza idzie bezofiarny. Perkunie, niech czyn jego nie ujdzie bezkarny.

— Hejże ludu wierny — woła na nich Marti — spieszcie się, powałę kamienną zatoczcie nad Niemen, ja przy pomocy dziewic wierzchni ołtarz przeniosę wraz z paliwem świętem i miejsce wyszukamy godne w wojennej warowni, bo wojnę toczyć z złym duchem muszę i nie ustąpię. Przy Perkuna pomocy mocą go zadławię. Nie dam mu więcej lizać kropel miodu, nie dam mu więcej żniczowych ofiar zagrabiać. Ruszajmy w drogę!

Chór ofiarników na to odpowiedział:
— Uczynim jak każesz, kapłanko,

. . . .

Nocą obładowani zwierzyną myśliwi wrócili na polankę. Zdumieli, że żniczowego ogniska, ani Marti nie zastali, a przyszli z ofiarami. Zmęczeni byli, więc chcieli odpocząć. Siadłszy lub ległszy na puszystej trawie poczuli powiew, który ich w sen morzył. Jako też posnęli wszyscy nie domyślając się Poklusowej sprawki. Gdy spali twardo zły duch pochłonął zabitą zwierzynę, choć było jej sporo zżarł wszystko co było a tylko rogi ostatniego dzikiego barana stanęły mu w gardle, że ani połknąć ani wypluć ich nie mógł. Rogi raniły go boleśnie, więc podniósł krzyk straszliwy, który dziesięciorakie echo boru litewskiego donośnie powtórzyło. Na ten gromom podobny łoskot zbudzili się myśliwi a ujrzawszy w swem gronie kosmatego Po-

klusa struchleli zrazu przed jego złą mocą. Lecz widząc go wijącego się z boleści, nuże pytać, nuże szturchać go poczęli, ale ten ryczał nikiej bawoł w puszczy. Aż jeden myśliwy zajrzał mu w otwartą paszczę — zobaczył rogi stojące diabłu w gardle. Obejrzał się dokoła za upolowaną zwierzyną i zrozumiał, że Poklus pochłonął ich zdobycze. I towarzysze łatwo zrozumieli kędy znikła zwierzyna. Żal im było utraconych plonów, które z prawdziwym trudem zdobyli a już najbardziej żałowali pięknej lisiury i olbrzymich skór żubrów, o których marzyli na zimową porę. Żal ich za tem wszystkiem przeobraził się w szalony gniew wichrom podobny. Rzucili się społem na Poklusa jak na zwierza, każdy na swój sposób wymierzając karę doraźną. Żylaste pięście nie próżnowały, a jeden z myśliwych miłosierdziem zdjęty upominać ich zaczął:

— Upamiętajcie się, zły duch i srożej na was się pomści może. Przecież my Litwini nie żadne Germany, by bez miary pięściami wytrząsać.

Poklus na to ślepiami tajemniczo łypnął, myśliwi odstąpili od niego a ten, który najmiłosierniejszym się okazał, zabrał się do wyciągania rogów baranich z gardzieli diabelskiej. Jakoś robota choć z trudem się udała, lecz miłosierny okazał się ponadto mściwym. Skrwawione juchą rogi wbił złemu duchowi w łeb ponad uszami, co udało mu się wybornie, bo Poklus biciem i bólem gardła znękany, leżał bez ruchu jęcząc żałośnie.

A ów miłosierny Litwin przekładał towarzyszom:

— Zanim wyzdrowieje rogi baranie na dobre mu w łeb wrosną. Choć złym duchem jest ma postać człowieczą i lud nasz zwodzi ogłaszając się jego bratem. Od dnia naszej krzywdy z rogami po świecie chodzić i nadal kusić będzie, lecz ze znamionami zwierzęcości, po których go każdy snadno poznać może. Oto prawdziwy diabeł z rogami.

Wtem Perkunas zagrzmiał na znak zadowolenia a Litwini oddawszy mu cześć przynależną poszli mimo nocy szukać ogniska żnicza.

Jula Męcińska.

Zamiast mówić „miłość jest ślepa," należałoby mówić „miłość jest głucha;" bo gdyby było inaczej, nie wychodziłyby za mąż panny, grające na fortepianie.

* * *

Człowiek ma aż dwie nogi i tylko jeden mózg, a jednak łatwiej chodzić po świecie bez mózgu, niż bez nogi.

* * *

„Szczęście jest ślepe!" — mawiają najczęściej ci, których szczęście nie dostrzegło.



Światło świata.



Książki w wiekach średnich.

Na okazanie, jak przed wynalezieniem, a nawet długo jeszcze po wynalezieniu druku, w wiekach średnich, książki były rzadkim, kosztownym i trudnym do nabycia towarem w Europie; przytaczamy tu, co w tym przedmiocie powiada pewien angielski pisarz historyi swojego narodu. „W wiekach średnich, słowa są jego, sami prawie monarchowie, książęta, prałaci, lub majętniejsze klasztory, posiadały księgarnie, a książnice największych monarchów, nie wyrównywały tym, jakie dziś w Anglii, w każdym prawie domu szlachcica, lub plebana wiejskiego, znaleść można. Biblioteka królewska we Francyi, zebrana gorliwem staraniem trzech królów: Karóla V., VI., VII i z wielką starannością w jednej z wież Luwru strzeżona i zamknięta, wynosiła zaledwie 900 tomów, i po zajęciu Paryża przez Anglików r. 1425 za 1200 luidorów sprzedana została. Z katalogu tej książnicy, do dziś istniejącego, widać, iż się składała jedynie z kronik, legend, romansów, tudzież z dzieł astrologii, geomancyi, chiromancyi i wszelkiego rodzaju czarnoksięskich, będących naówczas ulubioną nauką wieku.

Królowie angielscy mniej jeszcze byli

zamożni w książki. Henryk V., mający wielkie upodobanie w czytaniu ,pożyczał od swoich poddanych wiele książek, o które się właściciele, po śmierci jego, prawnie upominali. W r. 1424, niejaka hrabina *Westmoreland*, weszła z prośbą do rady tajnej, w imieniu małoletniego *Henryka V.* królestwem rządzącej, domagając się zwrotu *Kroniki jerozolimskiej*, oraz *Wyprawy Godefryda de Bouillon*, które od niej zmarły król był pożyczył. Rada tajna, po ścisłem roztrząśnieniu rzeczy, wydała nakoniec z wielkiemi formalnościami wyrok, mocą którego te książki właścicielce zwrócone zostały. W tymże czasie, arcybiskup kanterburski, wniósł podobną skargę do rady tajnej, wyrażając w niej, że zmarły król pożyczył u niego dzieło S. Grzegorza, że mu go sam przed śmiercią nie oddał, i że lubo oddanie jego w testamencie zalecił, biskup londyński chce je sobie dziś przywłaszczyć. W skutek zażalenia rada tajna zajęła się gorliwie tą sprawą, i po wysłuchaniu wielu świadków, rozkazała biskupowi londyńskiemu, albo, żeby natychmiast książkę właścicielowi powrócił, alboli też sam osobiście stanął przed radą, dla usprawiedliwienia praw swych do jej własności. Przykłady te dają nam wyobrażenie, jak musiało być trudne, a prawie niepodobne dla ogółu czytelników nabycie książek w owych czasach, kiedy do tak mało ważnych, jak są wyżej wspomniane, taką wagę przywięzywano. Historyk francuzki, *de Commines*, mówiąc w tymże przedmiocie, powiada o Ludwiku XI., że ten, chcąc pożyczyć u jakiegoś barona pewnej książki, którąby dziś za cenę kilku franków nabyć można, musiał mu naprzód złożyć w zastaw znaczną ilość stołowego srebra, i zobowiązać się w przytomności jednego z najpierwszych dygnitarzy państwa, iż jeśliby mu jej w oznaczonym czasie nie oddał, nie tylko zastaw utraci, ale nadto pewną karę pieniężną, za niedotrzymanie obietnicy, właścicielowi obowięzuje się zapłacić.



Postne wiersze na oleju.

I.

Otwórzcie, powyjmujcie watę z waszych uszy,
Niech ten wiersz na oleju żołądek wam wzruszy.
Jego treść o jałowej i postnej naturze,
Będzie dla was tak strawny jako grzybki w żurze,
Gdy wam dzisiaj zanucę żałosnym peanem,
Jako na Kalwaryi dziadek pod kasztanem.
Liro moja dziądowska, daj mi głos wymowny,
Aby z mego śpiewania był „obrok duchowny“,
Aby tym, co dalecy i blizcy sąsiedzi
Płynął morał tak tłusty, jak rosół z pod śledzi!

II.

Najprzód was, pasibrzuchy, niech poruszy skrucha,
Coście w brzuchy jak w beczki wpakowali ducha...
Którzy w nic nie wierzycie na tym Bożym świecie,
Prócz, co poźrecie!
Woły, wieprze, kapłony, bażanty, bekasy,
Różne mięsne kucharskie wymysły, frykasy.
Przestańcie już pożerać teraz w świętym poście,
Boga przeproście!
Niechaj wasze brzuszyska, wielkie jak kandyby,
Napełnią ryby, suche owoce i grzyby,
By wam brzuchy opadły, jak kowalskie miechy,
Gdy puszczą dechy!
Ach, biada wam! co tylko w swe brzuchy wierzycie,
Bo jeżeli z obżarstwa się nie poprawicie,
Będzie wam dyabeł w piekle wasze brzuchy palił.
Jak w bęben walił!!!

III.

A teraz wy nieszczęśni, biedni, katolicy,
Co się zwiecie pijacy, lub alkoholicy,
Coście dotąd wierzyli w kieliszek, półkwarcie,
Napoje czarcie.
Poprawcie się w tym poście, pokutujcie szczerze,
Inaczej wam pijaną duszę dyabeł zbierze,
Zamiast piwska, likierów, araków, „gorzoły“ —
Da wrzącej smoły!

IV.

Poprawcie się wy, „baby“, w tym czasie pokuty,
Co wam język nie stanie ani pół minuty...
Jako pytel we młynie. Bliźnim swoim życie
Rade czernicie!...
Za bliźnich oczernianie, nie będziecie w niebie,
Tylko was ten z różkami zabierze do siebie
I tam wasze ozory, wam zapieczętuje,
Zamarynuje!
Że calusieńką wieczność, na tym drugim świecie —
Ani piśniecie!...

V.

W tym świętym teraz poście poprawcie swe życie,
Co się za procesami po sądach włóczycie,
Coście chlebodawcami — samych adwokatów,
Braciom za katów!...
Jak się nie poprawicie, zgubicie swą duszę.
Rozpalony paragraf, dyabeł na katusze
Będzie wam w sercu palił, bez żadnej supliki,
Repli — dupliki!

VI.

Zdrajcy, Judasze, Ojczyzny kochanej,
Co polskiej ziemi lasy, łąki, łany
Zaprzedajecie żydom, dla hakaty...
Dziadów intraty.
Za waszą chciwość na srebro i złoto
Piekło was spali, nieszczęsna hołoto!...
Na waszych tyłkach za brzydkie frymarki,
Będą dyabli kuć ciągle — talary i marki!...

VII.

Poprawcie się, przestańcie już grzesznych uciechów,
Którzy macie za cnotę... siedm głównych grzechów.
Ażeby was wymazał dyabeł ze swej listy,
U organisty...
Bo wiele jest takich, którzy całe życie
Duszy z brudów grzechowych nigdy nie czyścicie,
Myślicie, że czas będzie wtedy do pokuty,
Gdy na tamten świat w drogę zdejmiecie buty
I śmierć u . . . . !

VIII.

Zdrajcy, Judasze! kpy, jawnogrzeszniki,
Wy, skóry chłopskiej handlarze, wy, łyki!
Na biednych krzywdzie, opasłe niedźwiedzie,
Pornograficzne wymoczki i śledzie...
Lichwiarze, kutwy, sknery, liczykrupy,
Stare, przesiąkłe rozpustą skorupy,
Blagierzy, kłamcy i pychą nadęci,
Z „dyabłem za skórą“, pobożnisie święci,
Faryzeusze, Herody, Piłaty,
Wy antychrysty! wyrodki hakaty!
Socyaliści! — nadstawcie swe uszy
I poprawcie się na ciele i duszy!

Jantek z Bugaja.



Nowe książki i treść pism.

— **Ks. dr. Tadeusz Kruszyński: Stary Gdańsk i historya jego sztuki.** — Kraków. Nakładem Księgarni wydawniczej J. Czerneckiego w Wieliczce.

W nader ozdobnej szacie zewnętrznej ogłosił **Ks. Tad. Kruszyński** monografię Gdańska, w której zebrał w malowniczą całość historyę sztuki tego bogatego w świetne tradycye miasta w stosunku do dawnej Polski. Po dziś dzień kryje Gdańsk, gdzie mieszczaństwo w dobie Odrodzenia słynęło z ukochania piękna, w murach ciekawe a cenne zabytki sztuki.

Opis Gdańska rozpoczyna autor od okolicy i położenia miasta, podaje następnie jego dzieje, poczem zajmuje się dokładnie mennicą gdańską, oraz rozwojem sztuk pięknych; w kilku rozdziałach opisuje główniejsze kościoły (św. Mikołaja, kościół Maryacki, św. Katarzyny, św. Elżbiety, św. Jana, św. Piotra, kościół Karmelitów, Franciszkanów), ważniejsze budowle świeckie z okresu ostrołukowego (Wielki młyn, strzelnica św. Jerzego, śpichlerz „szara gęś", ratusz prawomiejski, dwór Artusa i in.) Osobny rozdział poświęcił autor dziejom kupiectwa i przemysłu. Nadzwyczaj cenny jest rozdział traktujący o budownictwie w okresie Odrodzenia gdańskiego; w tym czasie wzbija się budownictwo, będące dotąd tylko naśladownictwem kościelnego, na stanowisko samodzielne. Dla pełności obrazu dziejów Gdańska skreśla autor wreszcie rozwój żeglarstwa polskiego. Praktycznemi wskazówkami co do zwiedzania miasta kończy ks. Kruszyński swe dzieło, które zaopatrzył licznemi ilustracyami (świetnie odbitemi) reprodukcyami własnych zdjęć, oraz wykonanych własnoręcznie z wielką znajomością rzeczy rysunków, pośród których kilka barwnych architektonicznych zabytków stanowi prawdziwą ozdobę tej — jak już wspomnieliśmy — wspaniale wydanej monografii.

Książkę ks. Kruszyńskiego polecamy gorąco wszystkim tym, którzy nie są obojętni na dzieje świetności sztuki rodzimej, tem więcej, że dzieła z tej dziedziny tak źródłowo i z takiem zamiłowaniem opracowanego nie mieliśmy dotąd jeszcze.

T. M.

— **Polska książka adresowa i informacyjna Berlina na rok 1913** wyszła w drugiem wydaniu staraniem Stefana Tabulskiego i Stan. Kraszewskiego z mapą Berlina i przedmieść. Cena 1,— mk. Adres wydawnictwa: St. Tabulski, Berlin - Charlottenburg, Osnabrückerstrasse 22

Książka wzmiankowana zawiera informacye o Polakach zamieszkałych w Berlinie i okolicy, więc powinna znaleść u publiczności dobre przyjęcie i uznanie, na które też zasługuje.

Są ludzie, którzy próbują wszystkiego, a wybierają najgorsze.

* * *

Klejnoty są to rzeczy, które pierwej się kupują niż inne, i sprzedają się pierwej niż inne.

* * *

Niema prośby małej, która, będąc odrzuconą, nie wydawałaby się wielką.

Kalendarzyk historyczny.

Dnia 2-go marca 1258 Bolesław Wstydliwy ustanawia sądy w Korczynie. — 1333 śmierć Władysława Łokietka. — 1410 ugoda z Krzyżakami zawarta w Budzie. — 1427 śmierć królewicza Kaźmierza Jagiellończyka.

Dnia 3-go marca 1384 sejm elekcyjny w Radomiu. — 1578 sejm w Warszawie stanowi główny trybunał koronny. — 1703 śmierć hetmana Kaźmierza Sapiehy. — 1831 pobicie Moskwy pod Kurowem. — 1846 Austryacy wchodzą do Krakowa.

Dnia 4-go marca 1482 śmierć św. Kaźmierza Jagiellończyka. — 1578 Stefan Batory rozkazuje pustoszyć prowincye moskiewskie. — 1649 ślub Jana Kaźmierza z Ludwiką. — 1670 otwarcie sejmu zerwanego przez Zabokrzyckiego. — 1831 wycieczka z Zamościa do Uściługa.

Dnia 5-go marca 965 chrzest Mieczysława I. — 1102 śmierć Władysława Hermana. — 1424 koronacya Zofii przy zjeździe wielu monarchów — 1494 pożar Gdańska. — 1569 Podlasie do Korony wcielone. — 1849 legion polski przeważa zwycięstwo pod Solnokiem.

Dnia 6-go marca 1298 śmierć błogosławionej Heleny, księżny Lubickiej. — 1447 hołd książąt śląskich w Krakowie. — 1557 pobicie Tatarów pod Skowrodkami.

Dnia 7-go marca 965 religia chrześcijańska zaprowadzona do Polski. — 967 publiczne palenie bałwanów pogańskich. — 1548 królewicz Zygmunt August odbiera rządy w Prusach.

Dnia 8-go marca 1223 śmierć Wincentego Kadłubka. — 1347 wiekopomny sejm prawodawczy w Wiślicy. — 1438 nadanie przez sejm statutu konfederacyi w Korczynie. — 1569 województwo podlaskie przyłączone do korony. — 1831 walny zjazd obywateli Ukrainy w Czerniawce.



Humor i satyra.

O... małżeństwo.

W tej polemice małżeńskiej,
Każdy swe wygłosił zdanie,
Nikt nikogo nie przekonał,
Każdy też przy swem zostanie.

Ale żeby to zakończyć
I zapobiedz dalszej nudzie,
Powiem tylko — o małżeństwie,
Co też piszą sławni ludzie.

Balzak: „Sprawa to sądowa,
W której zawsze jedna strona
Przegrać musi, skutkiem czego
Wiecznie niezadowolona".

Shelley twierdzi tak: małżeństwo
Instytucya tej wartości,
Że najbardziej się sprzeciwia
Wszelkiej ludzkiej szczęśliwości!"[*])

Stuart Mill: „to poddaństwo,
Które prawa wciąż uznaje,
Które jednym barki zgniata,
Drugim — świat w monopol daje.

„Pani domu" piękny tytuł,
Którym damy tak się szczycą,
Jest jedynie formą, „pani"
Jest prawdziwie — *niewolnicą!*"[**])

Dość już cytat, dodam tylko,
Że kobieta, mojem zdaniem,
Zawsze biedna, pokrzywdzona,
Czy w małżeństwie, czy po za niem.

Nawet prosty chłop powiada:
(Jego pogląd też tu wlepię)
„Kocham cię, jak moją duszę,
I jak kożuch mój cię — trzepię!"

Stara prawda, oklepana,
W każdej książce ona gości,
Każdy już ją zna na pamięć,
Że — małżeństwo — grób miłości!

A mieszkaniec tej krainy,
Gdzie cytryna wciąż dojrzewa
W swoich piosnkach melodyjnych
W ten sens kwestyę tę opiewa:

„Małżeństwo wielkie złe,
Żonaty — w klatce ptak!
I — *„chi la moglii, ha doglie*"[***])
Lub odwrotnie, tak tak!

* * *

Zły początek.

Żona (do męża, z którego zakupów nie jest zadowolona): Ty zawsze wybierasz co tylko można najgorszego!

Mąż: Niestety, od ciebie zacząłem.

* * *

Na kolei drugorzędnej.

Pasażer: Czemu zawsze we środę pociąg tak wolno się wlecze?

Konduktor: Bo we środę jest po wsiach pranie i maszynista sprzedaje babom po drodze gorącą wodę.

* * *

W rodzinie literata.

Żona: Ty też cały dzień chodzisz tylko z założonemi na piersiach rękami.

Mąż: Albo co? Może mam chodzić z założonemi na plecach nogami?

* * *

Pańskość łatana.

Nędza łatana zwykle litość budzi
Wśród miłosiernych i rozumnych ludzi,
Ale pan bankrut, gdy swą pańskość łata,
Staje się tylko pośmiewiskiem świata.

---

[*]) Shelley: „Queen Mab".
[**]) Mill: „Poddaństwo kobiet".
[***]) Kto ma żonę, ma kłopoty.

Za mała flaszka.

Pod koniec uczty podano w pewnem towarzystwie z rozkazu gospodarza małą flaszkę wina. Gospodarz począł zapewniać gości, że wino w niej zawarte jest bardzo stare. Wówczas jeden z nich rzekł: „Możliwe, ale ta flaszka dziwnie mała w porównaniu do swych lat".

* * *

I.



Niech się śmieje stary, młody,
Z tej tu zabawnej przygody
Imci pana Agapita,
Który siedząc w oknie, czyta.

II.



Wtem przynosi praczka pranie,
Widzi na drzwiach napisanie,
A że trochę ślepooka
Chwyta za sznur od szlafroka.

III.



Za sznur pana Agapita
Szarpie mocno ta kobieta,
Myśląc, że za dzwonka linę;
Gapcio spada na babinę.

* * *

Brak przywiązania.

Na pałacu cesarskim we Wiedniu pewien blacharz naprawiał dach, nie zachowawszy zwykłej ostrożności, aby się przywiązać sznurem, skutkiem czego spadł, lecz przypadkiem tak szczęśliwie, że się nie zabił. Przechodzący wtedy dowcipniś powiedział, że brak przywiązania do domu cesarskiego był przyczyną upadku tego człowieka...

* * *

Facecye autentyczne.

Podczas rozprawy sądowej posprzeczało się dwóch adwokatów, z których jeden był olbrzymem, a drugi karłem co do wzrostu.

„Co mi pan gadasz" zawołał olbrzym, „jabym pana mógł sobie do kieszeni wsadzić."

„O, wtedy miałbyś pan więcej rozumu w kieszeni niż w głowie," zawołał mały adwokat zgryźliwie.

* * *

Komicznym jest następujący „bericht" władzy gminnej w N...... do landrata:

„Niżej podpisany naczelnik gminy donosi Prześwietnemu landratowi, że w tutejszej gminie nikt nie ma koni nadających się na wojskowe remonty, jako, że gmina cała składa się ze samych wołów."

* * *

„W kwietniu b. r. osiedlił się w X. młody początkujący lekarz i obiecał swemu służącemu, że otrzyma za pierwszego pacyenta, jaki się do niego zgłosi, dwie marki gratyfikacyi.

Rzeczywiście na drugi dzień zjawia się u młodego doktora jakiś obskurny pacyent, a po konsultacyi kładzie markę na stół i chce się oddalić.

„Przepraszam pana" zatrzymuje go lekarz, „honoraryum wynosi 2 marki."

Pacyent robi wielkie oczy, a potem odzywa się do stojącego we drzwiach służącego:

„Widzisz, teraz do całego interesu jeszcze markę musimy dopłacić!"

* * *

Na raucie.

Pewnemu adoratorowi płci pięknej, który w zapale ani spostrzegł, że ręka jego zbliża się nadto do uroczej słuchaczki, pani Marty, młoda mężatka nagle przerywa rozmowę.

— Czy ma pan co do oclenia?

— Jakto?

— No, bo zamierza pan przekroczyć granicę.

* * *

Z ogłoszeń.

„Z powodu zawodu w miłości jest na sprzedaż nieużywana suknia ślubna."

* * *

Czy ty pamiętasz?

O luba moja, o słodka bogini,
Z tobą-m miłości poznał elementarz,
Dla ciebie-m fajgle wydobywał z skrzyni,
Czy ty pamiętasz?

Raz zażądałaś brylantowej broszki,
Więc jam zagajnik sprzedał i inwentarz,
Bo dać nie chcieli Jankiele i Moszki
Czy ty pamiętasz?

Gdy zapragnęłaś mieszkać w wielkiem mieście
Widząc, że ciągle mnie miłością pętasz,
Marną wioszczynę swą sprzedałem wreszcie,
Czy ty pamiętasz?

Lecz, biada, kiedy złe losy się sprzęgą,
Dziś w mojem sercu jest miłości cmentarz,
Boś ty drapnęła z jakimś niedołęgą,
Chyba... pamiętasz?

* * *

Wyższa miłość.

Panna do konkurenta: Ależ, kochany Edwardzie! Nazywasz mię ciągle swym aniołem, a jakoś ani słowa nie mówisz o naszem połączeniu.

Edward: Właśnie dlatego, niebiańska Zosiu, nie ośmielam się wspominać o małżeństwie. Gdybym bowiem zawarł z tobą ziemski związek, gotowabyś pewnego pięknego poranku umknąć mi jako anioł w wyższe niebieskie sfery.

Gdzie szczęście.

Przed laty mąż uczony —
Nie wiem, czy o tem wiecie? —
Uparł się, by odnaleźć
Szczęście tu, na tym świecie.
Szukał więc śród bogaczy,
Między hołotą różną;
Szukał śród miast i wiosek —
Napróżno, wciąż napróżno.
Lata mu na tem zbiegły,
Po pas urosła broda,
Lecz dawna żądza w duszy
Wciąż żyła zawsze młoda.
Raz, gdy nad jakąś księgą
Ślęczał ów mąż w noc ciemną,
Gość dziwny stanął przed nim
I rzekł mu: — Iść masz ze mną!
Czy z piekła był, czy z nieba
Ów gość, nikt nie wie o tem,
Mąż poszedł, słów nie tracąc,
Boć jest milczenie złotem,
Szli długo. Mąż w zadumie.
— To się uczonym zdarza —
Nie zauważył nawet,
Że byli śród cmentarza.
Stanęli. Tuż przed nimi
Domek się wznosił mały,
Na froncie krzyż i jakieś
Litery tuż bielały.
Przy słabym gwiazd promieniu
Trudno rozpoznać słowa,
Lecz mędrzec wnet odczytał:
Tutaj się szczęście chowa.
Patrzy: domeczek cały
Grobowca ma pozory;
Patrzy towarzysz jego
Znikł, jakby był z kamfory.
Gdy się rozejrzał lepiej,
— Nie mówcie tylko komu —
Drapnął, co było siły,
Nie oparł się aż w domu.
Odtąd tryb życia zmienił:
Szczęścia nie szukał więcej,
I życia nie marnował
Śród starych ksiąg tysięcy.
Pytany, gdzie jest szczęście,
Płacił milczenia złotem,
A nagabany mruczał:
— Lepiej nie wiedzieć o tem.

* * *

Przy najmie lokalu.

— Ależ, panie gospodarzu, 700 marek za trzy pokoje to zbyt drogo.

— To trudno, inni tyleż dadzą.

— W mieszkaniu jest wilgoć.

— Za wilgoć nic też panu nie policzę i oddam ją zupełnie za darmo.

* * *

Znawstwo.

Kobiety, w których rozum gości,
(Męskiemu jednak niezbyt bliźni)
I na uczuciach i miłości
Znają się lepiej, niż mężczyźni.
Pomimo tego (każdy przyzna,
Że dziwne nieraz ich zachcenie)
Pragną wciąż, żeby im mężczyzna
Dał choć raz w życiu wyjaśnienie.

Nasze sługi.

— Wyobraź sobie, moja kochana, wczoraj pan mię nie poznał i wziął mię za panią!

— I cóż, pocałował cię?

— Gdzie tam krzyczał okropnie.

* * *

Sport.

Doktor Iks opukuje korpulentnego pacyenta.

— Zbyt dużo sadełka, szanowny panie! — mruczy dobrodusznie — zbyt dużo! trzeba koniecznie, abyś używał pan jakiegoś sportu.

— Sportu? — zapytuje ze zdziwieniem pacyent — ja używam już?

— I jakiegoż to, jeśli łaska?

— Zawzięcie grywam w karty; aż się pocę!

* * *

Znakomitość.

— Kto to jest ten jegomość?

— To krytyk...

— Cóż on krytykuje?

— On nie krytykuje, tylko ciągle jest *w krytycznem* położeniu...

Kto chce być dobrze oszukanym, niech wpoi w siebie przekonanie o wyższości swej nad innymi.

* * *

Niema prawdy, którąby nie zrodziła błędu; niema błędu, któryby nie zrodził prawdy.

* * *

Człowiek roztropny rachuje się zwłaszcza z tymi, na których nie może rachować.

Zadanie rachunkowe.

Nadesłał czytelnik „Pracy“ p. Pankracy Stark z Poznania.

Pewien pan zamówił 75 butelek wina czerwonego i 30 butelek węgierskiego razem za 186,— mk. Ponieważ cena butelki wina czerwonego o 10 fen., a węgierskiego o 20 fen. staniała, otrzymał za tę samą sumę teraz 80 butelek wina czerwonego i 33 butelki wina węgierskiego. Ile kosztowała każda butelka wina przy zamówieniu?

Rozwiązania prosimy nadsyłać do dnia 6-go marca włącznie.

Później nadesłanych rozwiązań nie uwzględnimy.

Przy rozdawaniu nagród uwzględnimy tylko te osoby, które nam nadeślą dokładne rozwiązanie powyższego zadania rachunkowego.

Szan. Czytelników prosimy, aby dla zaoszczędzenia opłaty pocztowej przesyłali rozwiązania zagadek **tylko na pocztówkach.**

Rozwiązanie rebusa z nr. 7-go.:

Prawa są opieką dla ubogich i zabezpieczeniem własności bogatych.

Trafne rozwiązania nadesłały do dnia wyznaczonego terminu t. j. do 20-go z. m., następujące osoby:

Z POZNANIA: pp. Wanda Malinowska, Hania Broekere, Stanisława i Jadwiga Lewandowskie.

Z PROWINCYI: pp. Felicya Barciszewska z Wrześni, Zofia Weinert z Borku, Jadwiga Czekalska z Pobiedzisk, Halina Czabańska z Zaniemyśla, Michał Miłkowski z Ostrowa, A. Fabrowski z Ostrzeszowa, Dr. Żmidziński z Skalmierzyc, Stasia Napierałówna z Dominium Grójec pod Chobienicami, L. Józef Jankowski z Nowniy pod Chobienicami, J. Cieśliński z Niechanowa, Joanna Sobocińska z Wielowsi pod Gniewkowem.

Z PRUS ZACHODNICH: pp. Ludwik Rządkowski, malarz - artysta z Przechowa, Władysław Tleczyński ze Świecia, J. Wachowski z Nowegomiasta n. D.

Z GÓRNEGO ŚLĄSKA: p. A. Gazda z Wodzisławia.

Z GALICYI: pp. Maryla Jonas Szatańska z Winnik pod Lwowem, Stanisława Janiecówna z Grójca.

Nagrodę otrzymali: pp. Hania Broekere z Poznania, Felicya Barciszewska z Wrześni, Ludwik Rządkowski z Przechowa, A. Gazda z Wodzisławia.

Nasz kącik.

I. Zagadka historyczna.

Hej, hej, daleko, już nie między swemi
Walczą Polacy nie za swoją sprawę,
Myśląc, iż może, kiedyś dla swej ziemi
Okupią wolność te ich rany krwawe.
— „Marsz, marsz!" Ta śpiewka zagrzewa wojaka.
— "Marsz, marsz!" Hej — „jeszcze Polska nie zginęła!"
Działają cuda, mkną na skrzydłach ptaka,
Jak bohaterzy, tak idą do dzieła...
Czy wiecie dzieci, kto stworzył oddziały,
Co na obczyznę wyszły z bronią w ręku,
By obcym ludom przysporzyć czci, chwały?
Znacież nazwisko męża, co bez lęku
Szedł w obce kraje, a tak budził ducha,
Że za nim mężnych szło braci tysiące?
Niech polskie dziecię chętnie o nim słucha,
Niech mu wspomnienie poświęci gorące!
I niech się szczyci i niechaj się cieszy,
Szlachetną dumą niechaj serce wzbiera,
Że wśród walecznych prapradziadów rzeszy,
Jako wzór świeci postać bohatera.

P. W.

* * *

Odpowiedzi, poprawka, pogadanka.

Pszczółka. Mazia Szeląszkiewiczówna. Pelasia Zwierzyńska. Kórnik. Całem sercem wdzięczną wam jestem miłe dziewczątka za słowa współczucia i modlitewki zanoszone do Bozi. Niech wam Pan Bóg to wynagrodzi! Następna „Złota kroniczka" będzie dopiero za kwartał, ale ja wszystko spamiętam. Liściki bardzo ładnie napisane, tylko moja miła, pracowita Pszczółka zrobiła parę błędzików, trzeba je koniecznie poprawić: Nie mówi sie i nie pisze — łobie, lecz obie, nie fstapię, lecz wstąpię. A teraz uważaj jeszcze Pszczółko! Napisałaś tak: „Książeczkę niedługo przeczytałam;" skoroś tego jeszcze nie dokonała, lecz dopiero miałaś dokończyć czytania„ należało napisać: „Książeczkę niedługo przeczytam." Czy zrozumiałaś mnie, moja miła? Lilijka z Doliny. Bardzo ładniutka karteczka z twą podobizną i pamięć twoja mnie ucieszyły, dziękuję serdecznie. Kazik Ochenduszko. Lisko. Moje najdroższe, miłe chłopczątko, dziękuję ci, że nawet w tych ciężkich chwilach niepokoju o Tatusia, piszesz do mnie; bardzo, bardzo mi was żal! Jestem pewna, iż obaj z Marysiem staracie się pocieszać Mamusię i o ile siły pozwolą wyręczać ją i pomagać, prawda? Złoty Pazik. Krotoszyn. Zapewne domyślisz się, dlaczego wybrałam ci pseudonim. Napisz, czy jesteś z niego zadowolonym; jeśli wolisz, możesz go zmienić. Bardzo lubię kartki, na których są podobizny całej rodziny i z wszystkimi mogę sie zaraz poznajomić, więc też i twoja pocztówka podobała mi się i ucieszyła mnie serdecznie. Czy w młodszem twem rodzeństwie mam także małych przyjaciół? Znam i bardzo lubię twą Ciocię z ulicy św. Łazarza i dużo z nią o tobie rozmawiałam. Zagadki historyczne znów się zaczynają, pamiętaj więc o danem mi przyrzeczeniu! Czarny Rycerz. Inowrocław. Donoszę ci, że cię przeczucie nie myliło, pochodzę rzeczywiście z rodziny zasłużonego pisarza - poety Franciszka Wężyka, a ty mi w zamian napisz, czy znany autor jest twym stryjkiem! W ostatnim „Kąciku," w odpowiedzi dla ciebie zaszła pomyłka, lecz sądzę, że i tak ją zrozumiałeś? Znana wam dziatki moje współczytelniczka, Jaskółka z niewoli, napisała do mnie liścik, treścią którego pragnę się z wami podzielić, by wspólnie coś postanowić, ale wpierw jeszcze parę słów: Może nie jedno z was słyszało już coś o bohaterstwie naszych współbraci — Słowian, którzy walczą, aby się wydobyć ze strasznej, kilkowiekowej niewoli tureckiej. Chociaż Pan Bóg daje Bułgarom zwycięstwo, ale drogo je oni krwią swą okupują, tysiące ich już poległo, biedne sierotki opłakują ojców — opiekunów — żywicieli! — Księżniczki bułgarskie Eudoksya i Nadežda umieściły w dziennikach tutejszych odezwę z prośbą do dzieci polskich, o pomoc dla sierotek bohaterów i oto Jaskółeczka zapytuje, czy nie będziemy zbierać groszy na „Dom opieki dla osierociałych dzieci". Pan Bóg daje Bułgarom zwycięstwo i na nas patrzy z góry, co my ze swej strony dla sierotek uczynimy. Czy zbierać grosze? — Nie, nie! Nasz kraj także biedny, ciemiężony, a i kieszonki moich najmilszych małych przyjaciół przed Gwiazdką się wypróżniły, więc o grosik wcale nie proszę. Ale jakże, czy wam serduszka pozwolą obojętnie odrzucić prośbę wyciągających się ku wam sierocych rączek małych Bułgarek i Bułgarów? O nie, nie, prawda? My wszyscy zwartym szeregiem ruszymy im z pomocą, a w jaki sposób, to wam zaraz powiem. Otóż grono osób poważnych zrobiło umowę z przedsiębiorcą trudniącym się zakupem zużytych znaczków pocztowych i ten zobowiązał się kupić je choćby w jaknajwiększej ilości, a grosze uzyskane z tej sprzedaży, komitet odda na budowę przytułku dla bułgarskich sierotek. Oj, chciałabym mieć teraz wielką trąbę, wejść aż na szczyt wieży naszego ratusza i trąbić na kraj cały: — „Tru-tu-ru-tu! Baczność ha! Kto dla sierot znaczki da, otrze oczka zlane łzą, temu Bóg nagrodzi to!" Niech ani jedno z kącikowych dzieci nie zaniedba uczynić, o co proszę, każde najmniejsze bobo zrobić to może. Czy to liścik dla mamusi, czy też liścik dla tatusia, poproście o kopertę i odklejcie znaczek, niech ani jeden nie zginie, nie zmarnieje, bo szkoda każdego. Wiem, że niektórzy, więksi chłopcy są amatorami pięknych okazów marek pocztowych i przykro by im było z temi sie rozstawać, donoszę więc, że na rodzaju znaczków nie zależy, mogą one być zwyczajne, krajowe. Dotychczas przysłała mi kilkaset sztuk Jaskółka z niewoli i jej braciszek Tadzio, oraz R. Ch. z Poznania. Przesyłki adresujcie dzieci: Wna Barbara Chłapowska, Poznań — Posen, Gartenstr. 13. — Zdziwicie się zapewne, że tym razem nie ma wzmianki przy „Zagadce historycznej — do nagrody?" Tak, tak, nie będzie jej teraz, bo „Kącik biedny" i już nie ma żadnych książeczek do rozdania, zwłaszcza, że jeżeli nasz zjazd dojdzie do skutku, pragnę wtedy urządzić rodzaj loteryjki z wszystkiemi biletami wygrywającemi. Jedna z dziewczynek proponuje nie drugi, lecz trzeci dzień Zielonych Świątek. Czy wszyscy na to się zgadzają? O tem, że wy mnie kochacie dziatki najmilsze, wiem, bo tysiące mam na to dowodów, o mojem do was przywiązaniu, mówią wam również wasze serduszka, ale mnie jeszcze mało tego i bardzo, bardzo bym pragnęła, abyście wspólnie poznali się i polubili, abyście chociaż oddaleni, lecz złączeni jednem ukochaniem i jedną myślą, w dobrem postępowali, uczyli się pilnie, pracowali i chwasty brzydkich wad plenili w serduszkach. Daj Boże, aby to nastąpiło, a teraz całuję całą gromadkę w czółka i główki kochająca **P. W.**

* * *

Prawdziwy obrazek z przed pół wieku.

(Ciąg dalszy.)

Ania zaledwie poznała swą mamę, gdy po kilku tygodniach powróciła z Warszawy, tak się przez ten czas zmieniła i zestarzała. — We dworze zawrzał znów ruch gorączkowy. Mama szykowała się w daleką podróż, z której nie wiedziała czy wróci do kraju i kiedy to nastąpi, męża jej bowiem skazano na 20 lat, a Stefka na 15 lat wygnania. Ze znaczną stratą spieniężała wszystko, co mogła, byle zabrać jaknajwięcej pieniędzy na daleką podróż i długi pobyt wśród lodowej krainy Syberyi. — Ponieważ rząd moskiewski wydał ukaz, że jeżeli właściciel na czas dłuższy majątek swój opuści, tenże staje się własnością rządu, przeto mama Ani pragnęła koniecznie przed wyjazdem śliczną swą Lipówkę sprzedać, ale niestety, o kupca w tym czasie nie było łatwo. To też zdawało się, że chyba sama Opatrzność Boża zesłała pana S. dalekiego sąsiada, który z powodu wątłego zdrowia nie brał udziału w powstaniu. Przyjechał on i zaczął uspakajać stroskaną mamę Ani. Niech się pani nie martwi, wszystko się ułoży, dziecka pani zabierać nie może, więc my Anię weźmiemy do siebie O Lipówke niech się pani także nie kłopoce! Dla zamydlenia oczu Moskalom, zrobimy akt przed adwokatem i pani majątek niby to mi odsprzeda. Będę tu gospodarzył, jak w swoim, dochody dla was odkładał, kiedy zaś, daj Boże, szczęśliwie wrócicie, majątek wam oddam. Przecież jestem uczciwym człowiekiem i nie potrzebuje się pani obawiać podstępu. Pan S. przemawiał z takiem przekonaniem i tak serdecznie, iż biedna kobieta z wdzięcznością przyjąwszy tę radę, zaufała mu zupełnie i akt sprzedaży podpisała. — Dni mijały szybko, już wkrótce miano skazańców wywieść na wygnanie, więc biedna matka spieszyła się, aby podążyć za Stefkiem. Ania z ust służby dowiedziała się o wszystkiem i strasznie cierpiała. Co chwila z płaczem rzucała się mamie na szyję: Mamusiu, weź mnie z sobą, nie zostawiaj mnie samą, ja będę grzeczną, nigdy nie bedę grymasić, ja nie chce, nie chcę jechać do państwa S.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Wiktor Gomulicki.

BOJ OLBRZYMÓW.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA.

50)

(Ciąg dalszy.)

Na twarzy cesarza odmalowało się wzruszenie. Uroczyście, z naciskiem oświadczył:

— Nie będziesz w ufności swej zawiedziony. Opatrzność czuwa nad niewinnemi ofiarami wojny. Powracaj, szlachetny kapłanie, na swe stanowisko. Gdyby wszyscy wasi duchowni naśladowali twój przykład; gdyby, pełniąc wolę nieba, byli niezachwiani w swem posłannictwie pokoju; gdyby nie opuszczali haniebnie kościołów, które tylko ich obecność miejscami świętemi czyni — moi żołnierze uszanowaliby świętość i całość tych szanownych przybytków. Wszyscyśmy cheścijanie. Wasz *Boh*, jest tem samem, co nasz *Dieu*.

Dodano księdzu dla bezpieczeństwa silny oddział wojska i odprawiono go do cerkwi. Rozpaczliwe krzyki trwogi i rozpaczy wybuchnęły tam na widok żołnierzy francuskich. Ale pop podniósł głos, i wystąpił do ludu z przemową, która go uspokoiła.

Mówił pop, jako nieprawdziwe są wieści, które o Napoleonie rozsiewano. Nie jest on ani bratem dyabła, ani ludożercą, ani poganinem. Wierzy w Boga, i nazywa się katolikiem, a jakkolwiek jego wiara mniej jest dobra od prawosławnej, nakazuje wszakże swym wyznawcom, kochać bliźniego i litować się nad nieszczęśliwymi. W wojnie, którą Bonaparte prowadzi, idzie tylko o politykę; z religią nic ona nie ma wspólnego. Walczy wojsko z wojskiem; inne stany pozostawiane są w spokoju. Nieprawdą jest, co mówiono, że żołnierze francuscy mordują bezbronnych, zabijają starców, kobiety i dzieci; nieprawdą jest, że cesarz pije krew ludzką, i miasta dla zabawy podpala. Uspokójcie się; krzywda wam się żadna nie stanie. Możecie wyjść bez obawy ze swej krójówki. Niech się lud uspokoi; krzywda się nikomu nie stanie. Lud może wyjść bez obawy ze swej kryjówki: żołnierze francuscy będą pierwszymi do bronienia go przed wałęsającem się kozactwem. Podziękować trzeba Bogu Najwyższemu, że w osobie zwycięzcy, pozwolił znaleźć tak dobrego i wspaniałomyślnego pana.

Skończywszy przemowę, zaintonował pieśń kościelną, którą wszystek lud na klęczkach, z płaczem ogromnym, za nim powtarzał.

Napoleon trwał niezłomnie w przekonaniu, że Rosyanie są ostatecznie pobici, i na całej linii się cofają. Nikt nie był zdolny rozwiać jego wiary. Na niej też oparł plan najbliższych działań.

Otrząsnął się już zupełnie z przemijającego zniechęcenia. Coraz inne myśli, projekty, nadzieje cisnęły się mu do głowy. Przez chwilę zajmowała go myśl pozyskania ludu rosyjskiego przez zniesienie poddaństwa, i wzniecenie wielkiej rewolucyi ludowej. Miał do tego zachętę ze strony samych Rosyan, domowi panującemu niechętnych. Zbudził się w nim wszakże żołnierz, unikający dróg krętych, przywykły do walki w otwartem polu, i środka owego zaniechał.

Doradzano mu powszechnie, żeby na czas dłuższy, może na całą zimę pozostał w Smoleńsku. Gwałtownie tę myśl odrzucał. Gdy mu doniesiono, że głównie Polacy za tym projektem głosują, zżymał się gniewnie i zawołał:

— Powiedzcie Polakom, że przywrócenie ich państwa nie może mnie wyłącznie zaprzątać. Mam inne, większe cele przed sobą!

Niebawem o pozostaniu w Smoleńsku mowy już nie było. Szło już tylko o to: w którą stronę dalszy pochód skierować.

Trzy drogi otwierały się przed Napoleonem: do Petersburga, do Kijowa, do Moskwy. Każda była ponętna, każda zdawała się prowadzić niechybnie do zwycięstwa. Petersburg, to głowa Rosyi. Zawładnąć głową, to tyleż, co objąć faktycznie rządy całego państwa. Przytem przez Petersburg idzie droga morska do Anglii — do tej znienawidzonej Anglii, zmory dręczącej stale cesarza, nieubłaganej nieprzyjaciółki, której zdeptanie jest może najistotniejszym powodem kampanii, przezwanej, dla galeryi tylko drugą wojną polską.

Ta droga była jednak najmniej pewna. Zagradzały ją największe siły nieprzyjacielskie i miasta warowne, które z wysiłkiem i z dużemi stratami zdobywaćby przychodziło. Przytem wiodła ta droga na Północ, a sama myśl o Północy, jako o „krainie lodów," dreszczem przejmowała Korsykanina.

Miał swe powaby i Kijów. Tam wygłodzona armia odkarmiłaby się i wypoczęła. Można było w Kijowie zająć się organizacyą Polski, jako państwa odrębnego, potem ją całą rzucić na wroga. Cała zaś Polska, to, według świadectwa jej delegatów, „szesnaście milionów". Szesnaście milionów, duszą i ciałem cesarzowi oddanych.

Ale ponętny, w żywność i wygody obfity Kijów, mógł się stać dla armii — Kapuą. Łatwoby tam rozleniwiła się, rozhartowała. Przytem któż wie, jakie moce zbudziłby wówczas Aleksander w środkowej i północnej Rosyi? Wreszcie Kijów leżał zbyt blisko posiadłości teścia, których nietykalność była umową zastrzeżona.

Pozostawała Moskwa, druga, starsza stolica państwa — serce Rosyi. Cios w głowę bywa niebezpieczny; cios w serce, jest zawsze śmiertelny. Droga do Moskwy najkrótsza, przeszkód na niej niewiele. Jeśli pod Moskwą główne siły nieprzyjaciela, tem lepiej. Zada się im klęskę ostateczną, po której już się Rosya nie podniesie.

A więc — na Moskwę!

Postanowienie powzięte, rozkaz pochodu wydany. Wielka armia śpieszyć musi, dopóki jest jeszcze naprawdę wielką. I dopóki zdobyć się może na ów „wielki czyn", za którym goni cesarz gorączkowo od początku kampanii.

Zwlekać nie można, gdyż korpusy, jak śnieg topnieją. Samych Polaków możeby już i trzeciej części doliczyć się nie można.

Na Moskwę! Na Moskwę!

Postanowienie powzięte — i zaraz cesarz samego siebie i wielkość swą, a z wielkością spokój i zdrowie odzyskał.

De Bausset, który wówczas właśnie do obozu przybył, zapisał pod tą datą:

„Znalazłem cesarza w wybornym stanie zdrowia i humoru. Fizycznie i duchowo wydał mi się tym samym, jakim był w Paryżu. Niewygody i dolegliwości uciążliwej kampanii ani śladu na nim nie pozostawiły."

A jednak istniała pewna, uwagi nie godna drobnostka, która nie pozwalała mu być zupełnie spokojnym. Na wielkiej mapie Rosyi, którą nieustannie rozpatrywał, wymierzał, studyował, jednego kółka i jednego wyrazu było za wiele. Kółko oznaczało gród gubernialny; wyraz brzmiał: *Półtawa.*

Jakiekolwiek linie cesarz wykreślał na mapie, zawsze mu owo miejsce fatalne w oczy wpadało.

Półtawa to — Karol XII. Karol XII. to — klęska.

Używał różnych sposobów, żeby „Półtawę wymijać, nie dostrzegać jej, zgoła o jej istnieniu zapomnieć."

Gdy nic nie pomagało, skończył na tem, że zawsze, nad mapą się pochylając, dłonią lewej ręki ów punkt przeklęty zakrywał.

ROZDZIAŁ VI.

„W samym przepaści niezgłębionej środku."

— Sto szósty zaczął. Naprzód się pcha. Zwycięża.

— Zajął sto szósty Borodino. Pozycyę ma dobrą. Pierzchają przed nim.

— Sto szósty wzięty we dwa ognie: od czoła i z flanku. Generał z konia spadł. Zabity. Ćma wrogów sypie się. Już po sto szóstym!

— Dziewięćdziesiąty drugi z pomocą. Ocalone szczątki. Popłoch.

Cesarz nawet powieką nie mrugnął.

Była godzina siódma rano. Mgła. Słońce wisiało nizko, pomarańczowe, bez promieni — olbrzymie żółtko w oceanie mleka.

Napoleon spróbował patosu:

— To słońce z pod Austerlitz...

Frazes zgasł bez wrażenia. Był, jak głuchy trzask pistonu przy zawilgłym w panewce prochu. Nie wygłasza się tyrad, głosem zakatarzonym.

Głęboki spokój wczesnej jesieni leżał na zielonych dolinach, na rozbielonych namiotami płaskowzgórzach, na gąszczach leśnych, już rdzewieć zaczynających. We środku wielka czarna potworna masa, niby garb na kształtnem ciele pejzażu, swą groźną brzydotą kłóciła się z otoczeniem. Korciło tę sztuczną narośl usunąć.

W nią cesarz ustawicznie się wpatrywał.

— Generale! — zwrócił się do stojącego w pobliżu Davouta. — Trzeba wziąć to kretowisko...

— Weźmiemy je, *sire!* — zapewnił tamten.

Nagle coś wielkiego, ciężkiego, strasznego przeleciało z szumem i świstem nad głowami cesarza i jego sztabu. Dopiero po chwili rozległ się huk wystrzelonego granatu. Za pierwszym granatem nadleciał drugi, trzeci. Wszystkie padały daleko, po za ostatnim szeregiem gwardyi cesarskiej, zamykającej linię bojową.

Nikt nie poruszył się z miejsca, nie drgnął nawet. Cesarz wodząc oczyma za lecącemi pociskami, zauważył tylko:

— Przenoszą...

Potem zmierzył wzrokiem przestrzeń, która dzieliła jego artyleryę od pozycyj rosyjskich.

— Nie donoszą... — gniewnie zawołał.

I zaraz rozkazał:

— Posunąć baterye! Zmusić tamtych do milczenia. Przeszkadzają w rozmowie.

Rozkaz spełniono.

Tymczasem sielski, jesienny pejzaż zmienił swój nastrój. Zaroił się wojskiem, zahuczał wystrzałami. W jednym, oddalonym punkcie, gdzie las zaczynał się gęsty, wybuchła odrazu walka zacięta.

Zwrócił tam cesarz lunetę.

— Czy Poniatowski jeszcze walczy? — zapytał.

Dziwny był ton zapytania. Dziwny, nie dlatego tylko, że cesarz miał silny katar i głos ochrypły. Rozdźwięk tkwił w tem, że nie wyrażał dokładnie myśli, że się z myślą właściwą kłócił. Rozumiejący to wiedzieli, że zapytanie brzmieć powinno:

— Czy Poniatowski jeszcze żyje?

Albowiem książę Józef, z Polakami swymi, wysłany został na stracony posterunek. Ich odwaga nieustraszona, wytrzymawała każdą próbę. Oceniano należycie, tę tak cenną na wojnie siłę, i posługiwano się nią w każdej potrzebie.

Poniatowski jeszcze żył i jeszcze walczył. Owszem, życia ujawniał więcej, niż kiedykolwiek, walczył zaś, jak tylko on i jego „wiara" walczyć umieli.

Przed każdym z tych rycerzy, nietrwożnych i nieskazitelnych, unosiło się czcigodne widmo Matki, spętanej, okrwawionej, omdlewającej, z bólu i smutku. Za niem szli, nic innego nie widząc, widzieć nie chcąc.

Stracona placówka po to wysłana została, żeby zająć tył nieprzyjacielowi. Ale nie był on w tym punkcie słaby. Miał rezerwy i dziesięciotysięczny oddział pospolitego ruszenia. Wiedziano z góry, że opór stawi zawzięty. Ale i to wiedziano, że w tym czasie, gdy Polacy będą wybijani, główne siły Napoleona będą mogły złamać i zniszczyć czoło armii rosyjskiej.

Davout ruszył na „kretowisko". Przodem wysłał armaty; za niemi piechotę pod wodzą Compansa — sam postępował w rezerwie.

Serdecznie przywitał gości nieprzyjaciel: salwą działową, od której wzdrygnęła się ziemia. Odpowiedzieli goście pozdrowieniem, na pozdrowienie. Pół setki dział francuskich głośniej jeszcze zagadało. A gdy dwie artylerye dyalog gromowy wiodły, piechota, bagnety najeżywszy, szła milcząc.

Ciemna przed chwilą reduta, rozbieliła się dymem, roziskrzyła wystrzałami. W mgle każdy wybuch ognia czerwonej nabierał barwy. Paszcze armat zdawały się krwią bluzgać.

Napoleon stoi na wzgórzu, lunety od oka nie odejmuje. Jest na podziw spokojny. Mierzy wzrokiem przestrzeń, dzielącą pułki Compansa od reduty; oblicza w myśli, jak prędko do niej dotrą.

Tupnął nogą niecierpliwie, szkła przetarł. Cóż to, do pioruna? Dlaczego w miejscu stanęli?

Dym gęsty zasłania mu wszystko, niecierpliwość jego się wzmaga.

Wtem raport:

— Compans zabity!...

— Zastąpić go innym, i — naprzód!

W krzykliwy dyalog armat wpadły głosy karabinowe. Ale kolumna w miejscu stoi — wodza jej brak.

Nie trwa to długo. Generał Rapp zastąpił poległego; fala, szumniejsza jeszcze, potoczyła się na redutę.

Już bagnety francuskie sięgają rosyjskich piersi; już goście z gospodarzami za bary się biorą. Zwycięstwo blizkie...

Dwie kule, dwie pierwsze lepsze, przez pierwszych lepszych szeregowców, wystrzelone kule do zwycięstwa nie dopuszczają. Jedna rani śmiertelnie Rappa; druga ubija konia pod Davoutem, który pada na ziemię, ciężko się tłukąc.

— To już dwudziesta druga rana tego nieszczęśliwca — mruczy o Rappie cesarz. — Staje się to wreszcie nudne. Kto przypada z kolei, niech miejsce jego zajmie.

Pod deszczem ołowianym pocisków, trzeci generał wiedzie Francuzów na redutę. Kawałek ołowiu, nie większy od orzecha laskowego, trafia go w skroń — trupem kładzie.

Kretowisko zmieniło się w wulkan, w czeluść piekielną. Zionie ogniem bezustannie, całe w ogniu stoi. Nie jest to już czarna, bezkształtna narośl ziemna: jest to żywe, olbrzymie, czerwonemi językami drgające płomienisko.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Przepowiednia kabalarki.

Z oryginału angielskiego przełożyła M. K.

10

(Ciąg dalszy.)

Długo trzymała pióro w ręku. Jak na nagłówku napisać? Łaskawa Pani? albo Szanowna Księżno? Doprawdy ważne to nie było, ale Sylwia nie mogła się zdecydować. Była we wielkim strachu, aby nie popełnić nietaktu towarzyskiego.

Ale kiedy jeszcze namyślała się, zapukano dyskretnie do drzwi. Służebna wręczyła jej jakieś pismo. Było to od hrabiego, pierwszy list, jaki kiedykolwiek do niej napisał.

— Pani — pisał — może by pani raczyła do siostry mej po francusku napisać, dlatego pozwalam sobie załączyć małą kopię. Każdy kraj ma swoje zwyczaje i to mnie usprawiedliwi za moją śmiałość i impertynencyę.

A potem następowała wspomiana kopia, którą Sylwia przepisała z wdzięcznością — czuła się wielce zobowiązaną za uprzejmość hrabiego.

ROZDZIAŁ XII.

Kilka godzin później Sylwia i hrabia żegnali się przed drzwiami kasyna. Uścisnął jej rękę silniej, mówiąc dobranoc, a potem unosząc kapelusz, skierował się ku stacyi kolejowej.

Sylwia stała w zapadającym zmierzchu i patrzyła długo za oddalającą się postacią.

Wiedziała dobrze, tak jak gdyby jej to sam powiedział, że dla niej zrezygnował z wieczornej zabawy w kasynie. Opuścił Lacville, aby ją oczekiwać następnego dnia na dworcu w Paryżu — a wszystko dlatego, aby ją nie narazić na obmowę, coby bez wątpienia się stało, gdyby razem odjeżdżali z Lacville.

Kiedy weszła do sal kasyna, ujrzała zaraz panią Wachner.

— Dlaczego tak późno? — spytała — pani Wolska sprawia prawdziwą sensacyę. Prędko, prędko — i pociągnęła opierającą się Sylwię do klubu. — Umyślnie poszłam na dół, aby panią poszukać.

Co się stało? Sylwia uczuła, że zdenerwowanie pani Wachner udziela jej się także. W pokoju klubu ujrzała tłum zgromadzony dookoła stołu baccarata.

— Grupa młodych ludzi Paryża rozrzuca pieniądze — wytłumaczyła pani Wachner — to wielkie szanse dla pani Wolskiej.

Ale Sylwia jeszcze nie zrozumiała.

Zbliżyła się do stołu i dopiero teraz Sylwia zobaczyła, że Anna Wolska trzyma bank.

Poraz pierwszy widziała kobietę na bankiera miejscu.

Gruba paczka banknotów i kupki złota leżały przed Anną — a twarz jej stała się bardzo blada i oczy gorączkowo świeciły.

Gra była wyższa niż zazwyczaj, przy stole stała grupa młodych ludzi w ubraniach wieczorowych.

Rozmawiali i śmiali się, kładąc pieniądze na zielonym stoliku, jakby ich to cieszyło, że byli atrakcyą wieczoru.

— Jeden z nich — szepnęła pani Wachner — właśnie przegrał 8 tysięcy franków, w chwili kiedy po pieniądze zeszłam. Patrz pani, ciągle przegrywają. Nasza przyjaciółka ma szatańskie szczęście dzisiaj. Zakazałam Frycowi grać dzisiaj. Nic nie ma być naprzeciw niej. Zagarnia pieniądze co chwilę. Jeśli Fryc chce, może zejść na dół i tam grać.

Sylwia obserwowała Anny twarz. Dla obcej, która jej nie znała, pani Wolska byłaby zupełnie obojętnie wyglądała; ale na twarzy jej ukazały się dwie czerwone plamy i ręce drżały.

Nagle szczęście zmieniło się dla Anny. Podniosła oczy i spotrzegła oczy Sylwii utkwione w nią. Uczyniła małe porozumienie, aby ta odeszła.

Sylwia odsunęła się i okrążyła stół. Stanęła za Anną, a szczęście znowu jej dopisywało, a bankiera rulon złota i plika banknotów ciągle się zwiększała.

— Po raz pierwszy kobieta tutaj trzyma bank — usłyszała Sylwia słowa.

A potem odpowiedź. — Jest to najlepszy bank od miesiąca — najlepsza gra w tym sezonie.

Młody człowiek, który dużo stracił, zbliżył się do Anny z uśmiechem. — Myślę, że pani nie odchodzi, wziąłbym teraz bank. Zpewnością pozwoli mi pani teraz rewanż?

Anna zaśmiała się.

— Naturalnie. — Proponuję przedłużyć dzisiaj godziny gry.

Zajął jej miejsce, a tłum się rozstąpił.

Fryc zeszedł na dół, ale jego małżonka nie opuszczała Sylwii.

Niedługo stół otoczono, bo Anna wygrywała znowu — wygrywała jako bankier, wygrywała jako zwyczajna grająca. Dużo szło za jej przykładem, stawiając na tę samą kartę i wygrywało także.

Sylwia nie czuła się usposobioną do gry. Ku jej zdziwieniu ujrzała panią Wachner ryzykującą 20 franków. Po chwili stawka się zdwoiła, a niedługo wygrała 10 sztuk złota.

Twarz jej promieniała szczęściem, jak zadowolonego dziecka.

— O czemu Fryca tu nie ma! Szkoda, że go na dół zesłałam. Ale nic nie szkodzi, stara żona pracuje na niego.

Nakoniec bankier powstał od stołu. Przegrał wszystko. Z ukłonem rzekł do Anny. — Winszuję pani, pani musi mieć jaką ukrytą maskotę.

Anna szepnęła Sylwii. — Jakże to przyjemnie wygrywać od milionerów, bo jemu to nic złego nie czyni. Ten człowiek jest synem właściciela największych cukrowni we Francyi, a wiesz ile cukru konsumuje kraj.

Razem ze Sylwią i panią Wachner wyszły ze sali.

— Co pani zrobi z tylu pieniędzmi? — spytała ostatnia z niepokojem.

— Pojadę do Paryża i oddam do banku, ale jutro nie będę grała, jutro chcę wypocząć, potrzebuję spokoju.

— Możemy odwieść panią do pensyonatu Malfait — rzekła pani Wachner — pani wie, ja też dziś wygrałam dużo. — Potem poszła zawołać swego małżonka.

— Szkoda, że nie przyszłam prędzej — rzekła Sylwia — Nigdy nie widziałam, abyś miała bank, to pewno pierwszy raz?

— Tak jest — ale czułam, że dziś będę miała szczęście.

— Dlaczego nie mówiłaś mi poprzednio, że będziesz bankierem?

— Widziałam cię bardzo mało w ostatnim czasie, droga Sylwio. Czemu więcej jesteś z panią Wachner niż ze mną?

Nie mówiła z niechęcią, ale Sylwia wyczuła, jakby wyrzut. Widziała naprawdę bardzo mało panią Wolską, ale nie dla pani Wachner.

— Spędzę dziś z tobą wieczór, bo jutro jestem zaproszona do przyjaciela do Paryża, który teraz jest tam właśnie.

— To dobrze, zostań zemną, podczas gdy Wachnerowie pojadą do domu, a powóz może po ciebie potem przyjechać. Lepiej, gdybyś wieczorem nie szła sama do domu.

— Ależ ja nie wygrałam tyle złota co ty — rzekła Sylwia z uśmiechem.

— Tak, ale to nie czyni różnicy w takiem miejscu jak Lacville.

Niedługo państwo Wachner ukazali się. „Przyjaciel Fryc" wyglądał szczęśliwy, chwycił Annę za rękę, mówiąc.

— Winszuję pani, cóż za cudowna rzecz wygrać tyle co pani. Szkoda, że mnie tam nie było, byłbym świadkiem pani szczęścia.

Wyszli z kasyna. Noc była ciemna.

— A cóż pani zrobi z tą fortuną? — spytał pan Wachner ciekawie — wszakże to wielka suma pieniędzy, prawda?

— Lepiej nosić pieniądze przy sobie, niż zostawiać w hotelu — rzekła jego żona — ja nie wierzyłabym nikomu, czy pamiętasz, co się wydarzyło naszemu przyjacielowi Fryc?

Wsiedli do powozu i pojechali do pensyonatu Malfait.

— Nie wiem, co masz na myśli — rzekł małżonek ze złością.

— Tak, wiesz bardzo dobrze, — ten znajomy z Monte Carlo, który dnia pewnego wygrał pokaźną sumę i oddał ją hoteliście do schowania przez noc. Następnego dnia hotelista mu oświadczył, że w nocy kasę rozbito i wszystko ukradziono — podejrzywano służącego. Nasz przyjaciel nie mógł nic zrobić. Malfait może być najlepszym człowiekiem pod słońcem, ale nie dałabym mu pieniędzy do przechowania — zwróciła się do Anny.

— Ależ naturalnie, że nie. Nigdy nie dałabym nikomu tak wielkiej sumy na przechowanie, nie znając dokładnie osoby. Lepiej jest, jak pani mówi, mieć zawsze pieniądze przy sobie. Tak zawsze postępuję. Wtedy, gdy się zgubi, lub ukradną, można tylko sobie samemu robić wyrzuty.

— To bardzo zabawne trzymać bank — dodała po chwili, — myślę, że następnego dnia znów bank wezmę.

Krótka przejażdżka skończyła się. Anna i Sylwia zeszły do pensyonatu, a pani Wachner zawołała:

— Czy panie obie przyjdziecie jutro na kolacyę?

Sylwia potrząsnęła głową.

— Jadę do Paryża — rzekła — i będę zmęczona, powróciwszy, w każdym razie dziękuję bardzo za zaproszenie.

— Ale pani musi przyjść — zwróciła się do Anny — my także chcemy wypocząć po powrocie z kasyna.

— I owszem, przyjmuję zaproszenie.

— Niech pani rychło przyjdzie, o szóstej, urządzimy miłą pogawędkę.

Przyjaciółki udały się do pokoju Anny.

Sylwia usiadła przy otwartem oknie.

— Nie zapalaj świecy — rzekła — tak przyjemniej, ciemno i chłodno, a światło przyciągnęłoby tylko obrzydliwe ćmy. To jedna rzecz, której nie cierpię w Lacville!

Anna Wolska usiadła przy niej.

— Sylwia — rzekła — droga, kochana Sylwio. Czasem czuję wyrzuty, że cię przywiozłam do Lacville.

— Ależ co za niedorzeczność!

Sylwia ujęła rękę starszej kobiety. Zrozumiała dobrze Annę, ale nie chciała się przyznać.

— Nie obawiaj się wcale, abym popadła w pasyę gry, dziś patrzyłam w książeczkę od zapisków, od czasu, kiedy tu przyjechałam, przegrałam 40 franków. Przed dwoma dniami wygrałam 110. Widzisz, że to zupełnie nie na seryo.

— Nie myślałam o grze — rzekła Anna powoli.

Sylwia poruszyła się niespokojnie i puściła Anny rękę.

— Obawiam się, że naprawdę zakochasz się w hrabim de Vinci. Przebacz mi Sylwio, ale jestem starsza od ciebie. Pomyślałaś kiedy o konsekwencyach waszej przyjaźni? Przyznaj, że na początku podejrzywałam tego człowieka o złe zamiary, ale teraz widzę, że i on się zakochał. Czy wiesz, że on nigdy z ciebie oczu nie spuszcza w kasynie. Często zapomina zabrać wygraną...

Sylwii serce poczęło bić pośpiesznie. Była ciekawą, czy Anna mówiła prawdę. Powstała i ucałowała przyjaciółkę, ale powiedziała tylko:

— Anno wierz mi, on nigdy słowa miłości nie wyrzekł do mnie. Nawet nie flirtował. Daję ci słowo. Wyobrażasz sobie rzeczy, które nie istnieją.

— Ale właśnie to daje mi do myślenia. Flirt jest moda angielska, nie francuska, droga Sylwio. Francuz kocha inaczej, a jeżeli kocha prawdziwie, uwielbia na kolanach. Widziałabym chętniej, gdyby hrabia flirtował z tobą.

A kiedy Sylwia westchnęła, Anna dodała:

— Tak, boję się, że on ciebie na prawdę kocha. Naturalnie nie mam mu tego za złe, ani sądzę go tak ostro jak pani Wachner. Oni widocznie wiedzą coś złego o nim!

— Nie wierzę, żeby cokolwiek wiedzieli — podjęła Sylwia gorąco — to uprzedzenie. On ich nie cierpi, a oni wiedzą o tem. On ma ich za ludzi zwyczajnych, przypuszcza, że pan Wachner jest Niemcem — i na tem ma dosyć.

— Ależ odparła Anna — to nie jest ważne, co Wachnerowie myślą o nim, lub on o nich — ważne jest to, co ty o nim myślisz i on o tobie.

Sylwia była rada z ciemności, która kryła żywe rumieńce jej twarzy.

— Wcale nie wiesz, jakie życie byłoby twoje, gdybyś poszła za niego. On tylko żyje grą i dla gry. Czy mi wierzysz, że gracz zawsze jest złym mężem? Mamy przykład na panu Wachnerze. Kocha swoją żonę napewno, i ona go także, ale czy chciałabyś męża, któryby grę bardziej kochał niż ciebie?

Sylwia nie odpowiedziała.

— Ale na co ja to wszystko mówię? Co za głupstwo myśleć, żebyś ty miała wyjść za hrabiego. Nie, nie, drogie dziecko, hrabia należy do tych mężczyzn, o których żadna rozumna kobieta nie powinna myśleć na seryo. Kompletnie jest zrujnowany. Myślę, że grosza majątku nie posiada. Nie miałby pieniędzy na obrączkę ślubną. Musiałabyś i to kupić. To byłaby waryacya — zupełne szaleństwo.

— Myślę, że nie ma żadnego prawdopodobieństwa moje zamążpójście za hrabiego. Zapominasz, że znam go bardzo krótko, a on też nigdy o miłości do mnie nie mówił. Masz racyę, gra tylko istnieje dla niego.

— Napewno zauważyłaś, tak jak ja, że teraz daleko mniej grywa, a czas, który zwykle w klubie spędzał — no my wiemy najlepiej co teraz w tym czasie robi, Sylwio, jest z tobą, prawda?

(Ciąg dalszy nastąpi.)



W płomieniach.

10) Z francuskiego tłumaczyła M. P.

(Ciąg dalszy.)

— Musisz pani wypić ze mną filiżankę herbaty. Moja gospodyni zaraz ją poda. Ale pani nie wymieniłaś mi jeszcze wcale swego nazwiska!

— Nazywam się Nellie Grener.

— Nie jest nazwisko francuskie.

— Nie, rodzina moja pochodzi z Belgii, i tam mieszka też mój krewny, ostatni z rodu. Jest on snycerzem w Brukseli i bardzo dla mnie dobrym. Chciał płacić za mnie całą pensyę państwu Bannet, ale nie chcąc mu być ciężarem, postanowiłam pracować w kościele.

Coquenil patrzał na nią z natężoną uwagą Dziwna rzecz! Dziewczyna ta wyglądała, jak prawdziwa arystokratka. Cała jej postać, szczupła i giętka jak trzcina, ruchy, sposób mówienia i przedewszystkiem prześliczne białe ręce — wszystko to były cechy dziewczyny wychowanej w pierwszorzędnych salonach!

— Chciałabyś mi pani odpowiedzieć na jedno pytanie? — rzekł nagle.

Nellie spojrzała na niego swemi cudnemi szafirowemi oczami i uśmiechnęła się.

— Owszem, proszę!

— Czy pani wie, zkąd się pani śnią te dziwne rzeczy?

Młoda dziewczyna zadrżała.

— Nie wiem, — rzekła. — Tego przecież wyjaśnić wcale nie można.

— Wogóle nie. Ale myślałem, że pani — hm No, gdybyś miała znowu jaki dziwny sen, to mi go opowiedz, dobrze!

— Bardzo chętnie!

— A teraz — powiedz mi pani, słyszałaś coś o morderstwie w hotelu Ansonia?

— Nie czytałam gazety. Kogo tam zamordowano?

— Martineza.

— Co, artystę bilardowego? Znałam go przecież.

— Pani go znałaś? — zapytał Coquenil znowu z niedowierzaniem.

— Tak, widywałam go często, gdy wychodziłam wieczorami z państwem Bannet i kuzynem Gwenerem albo panem Kildale do kawiarni.

— Więc pani zna Kildala? Czy on był przyjacielem Martineza.

— O tak!

— Nie kłócili się nigdy?

A widząc, że ociąga się z odpowiedzią, dodał:

— Musisz pani być zupełnie szczerą!

— Zapewne! Nie, nie kłócili się nigdy, zgadzali się zawsze bardzo z sobą, ale to nie ma nic z tem wspólngo!

Melania wniosła tacę z przyborami do herbaty i Coquenil nalał wonny napój w filiżanki. Potem zapalił papierosa i wysłuchał uważnie całego opowiadania Nellie o rozmowie jej z nieznajomą damą.

— Szkoda, że nie dowiedziałaś się pani nazwiska tej damy, — rzekł, gdy skończyła. — Poznałabyś ją zaraz?

— **Ależ naturalnie!**

— Przeczytaj mi pani raz jeszcze piśmienne polecenie dla pana Kildala. Hm, hm! Kto to jest, kogo wczoraj uważała za winnego? Nie mówiła o tem? Ani o tem, dlaczego uważała go za winnego wczoraj, a dziś już nie?

— Nic o tem nie wspomniała!

Coquenil wstał i zaczął się przechadzać po pokoju, potem stanął przed Nellie.

— Nie mogę pani zataić, — rzekł poważnie, — że pan Kildale w bardzo przykrem znajduje się położeniu. Podejrzenie ciąży na nim....

— Ale on jest niewinny! — zawołała namiętnie.

— Miejmy nadzieję, że tak jest, ale musimy też tego dowieść i pani możesz mi w tem być pomocną. Kochasz go

— Życie dałabym za niego, — odpowiedziała z zapałem.

— W takim razie musisz iść do niego i nakłonić go do powiedzenia prawdy. Przedewszystkiem dowiedz się nazwiska tej kobiety! On nie odpowiada na żadne pytanie, a przecież musimy mieć jakie dowody jego niewinności, jeżeli go chcemy ocalić. Wobec pani nie pozostanie przecież niewinnym.

— O nie! On ma do mnie zaufanie. Ale czy nie pozwolą iść do niego?

— O nie! On ma do mnie zaufanie. Ale czy mi pozwolą iść do niego?

— Znam dyrektora Sante bardzo dobrze...

— Czy nie jest już w Depôt?

— Nie, przeprowadzono go do Santé, dzieje się tak zawsze z oskarżonymi o morderstwo.

Nellie zadrżała.

—Napiszę więc zaraz do dyrektora i poproszę go, aby panią wpuszczono do uwięzionego. Może dla mnie zrobi wyjątek.

— Kiedy mam iść?

— Natychmiast! Nie mamy ani chwili do stracenia!

Po tych słowach usiadł Copuenil przy biurku i napisał krótki list, który wręczył Nellie.

— Słuchaj pani — rzekł — co ci powiem. Musisz się dowiedzieć rozmaitych rzeczy, jak się do tego zabierzesz, to już twoja rzecz! Ale my musimy wiedzieć wszystko, jego bezpieczeństwo, przyszłość i życie zależą od tego! Może lepiej, abyś pani zapisała sobie pytania. Otóż tu jest karteczka.

Coquenil podał jej papier i ołówek i dyktował najrozmaitsze pytania, a Nellie, posłuszna, zapisywała je wszystkie. Potem ze łzami w oczach pożegnała nowego przyjaciela i udała się czemprędzej w drogę do Santé.

Gdy wkrótce stanęła przed ogromnym, ponurym gmachem więziennym, zbliżył się zaraz do niej jakiś uprzejmy policyant i wprowadził ją do obszernej, sklepionej sieni. Ciężkie, żelazem okute drzwi zamknęły się za nią. Nellie oddała list policyantowi, prosiła, aby go zaniósł dyrektorowi, i została sama.

Lecz niedługo.

— Pan dyrektor prosi! — odezwał się głos policyanta.

Drżąca z strachu szła Nellie za nim i za chwilę stanęła przed obliczem wszechwładnego tu pana.

— Cieszę się zawsze, jeżeli mogę memu przyjacielowi, panu Coquenil, wyświadczyć jaką przysługę — odezwał się dyrektor, zmuszając się do uśmiechu. — Czem mogę pani służyć?

Ale gdy Nellie, nieśmiała i zakłopotana powiedziała, po co tu przyszła, zmarszczył pan Dedet groźnie czoło i spytał, czy Coquenil ją tu po to jedynie przysłał.

— Tak, panie — odrzekła cicho. — Jest to przypadek niezwykły i...

— Niezwykły? — powtórzył szorstko — zapewne, bo chodzi o morderstwo.

— Ale on jest niewinny! Zupełnie niewinny! — zawołała błagalnie.

— Bardzo ładnie z pani strony, że wierzysz w jego niewinność, ale pomimo to nie mogę prośby twej wypełnić! Pięknie by tu wyglądało, gdybym dla każdej młodej ładnej dziewczyny jakieś robił wyjątki! Nie, moja pani, oskarżony siedzi sobie spokojnie w swej celi i nie wolno mu z nikim rozmawiać. Tylko adwokat, którego sąd wyznacza każdemu, nie mającemu na to, aby sobie adwokata mógł wybrać, odwiedza go raz po raz.

— Ale ja mu właśnie przynoszę pieniądze! Panie dyrektorze! — prosiła składając ręce — pozwól mi tylko na chwilę iść do niego!

— Powiedziałem już raz, że nie, i koniec — oburzył się dyrektor. — Mógłbym stracić miejsce! Żałuję bardzo, ale nie mam już czasu...

Nellie stała z spuszczonemi oczami i obracała w palcach ołówek, którym teraz, nie wiedzącc o tem, co robi, napisała kilka słów na leżacej na biurku bibule. Oczy nabrały przytem dziwnie nieprzytomnego wyrazu. Zdawało się, że nie widzi nic...

Ale trwało to tylko chwilę. Zaraz potem drgnęła, jak ze snu zbudzona i zwróciła się ku drzwiom. Dyrektor skinął niedbale głową, lecz gdy usiadł znów przy biurku spojrzał przypadkiem na bibułę...

— Co to jest? — Krzyknął.

Nellie stanęła.

— Przepraszam pana — szepnęła. — Zniszczyłam zapewne bibułę! Bardzo mi to przykro!

Pan Dedet przeczytał raz jeszcze napisane na niej słowa.

— Czy to pani pisała? — zapytał.

— Może, nie pamiętam już tego — rzekła.

— Musisz przecież wiedzieć, czy napisałaś, czy nie — zawołał szorstko.

— Ja — może — mimowoli — wyjąkała.

Dyrektor patrzał na nią przez chwilę, potem wziął drukowany formularz, wypełnił go i podał Nellie.

— Co to jest? — spytała zmieszana.

— To, czego pani żądałaś — odpowiedział nieco uprzejmiej. — Pozwolenie odwiedzenia uwięzionego Amerykanina!

ROZDZIAŁ X.

Ryszard Kidale miał usposobienie łagodne i nie łatwo tracił dobry humor. Było to szczęście dla niego — bo pomogło mu znieść łatwiej całą grozę położenia. Noc spędzona w więzieniu „Depôt," na żelaznym tapczanie pomiędzy złodziejem kieszonkowym i nieprzytomnym pijakiem, była straszną. Ale Ryszard nie tracił pomimo to dobrego humoru. Nie mogąc spać, słuchał z uśmiechem opowiadania złodzieja kieszonkowego, chełpiącego się swem ogromnem powodzeniem u kobiet.

Nazajutrz także, gdy go wprowadzono do pokoju sędziego śledczego i gdy dokonano na nim miary członków podług systemu Bertillona, pozostał spokojnym i łagodnym. Siedząc teraz w osobnej celi w Santé myślał jedynie z przykrością o tem, że nie będzie miał absolutnie żadnego zajęcia, i że liczenie godzin stanie się z czasem bardzo nudnem. Ale po załatwieniu wszelkich wstępnych formalności dano mu do czytania zniszczoną, starą książkę. Był to romans Coopera „Ostatni z Mohikanów". Szczęśliwy, że jakąś przecież ma rozrywkę, zaczął czytać z takiem zajęciem, że nie słyszał nawet, jak do celi jego wszedł dozórca.

— Masz pan iść do mównicy — rzekł. — Jest to niezwykły wypadek, że więźniowi wolno wizytę przyjąć. A czeka tam na pana młoda i bardzo piękna dziewczyna! Czas ograniczony na trzydzieści minut! Ja muszę stać ciągle przy drzwiach, ale możecie rozmawiać cicho. Nie jestem ciekawy! Niebywała rzecz!

Ryszard niemniej zdumiony, poszedł z dozórcą.

W mównicy spotkał się z Nellie.

— To ty! — zawołał z uniesieniem radości i nie zważając na obecność dozórcy, przycisnął ukochaną do serca.

— Nie można mu się dziwić! — pomyślał urzędnik. — Ładna, jak malowanie!

Ale Nellie nie zapomniała swego zadania. Zwolna wysunęła się z objęć ukochanego, i patrząc mu w oczy z nieopisaną miłością, rzekła:

— Słuchaj Ryszardzie, wolno mi tylko zostać tu pół godziny, a mam ci tyle do opowiadania! Bo przyszłam po to, aby cię ratować, aby cię uwolnić z tego straszliwego więzienia.

— Ach, najdroższa — uśmiechnął się Ryszard — ty tego uczynić nie zdołasz!

— Zobaczymy! Ale najpierw musisz mi odpowiedzieć na kilka pytań, chociażbyś nie wiedział, dlaczego je stawiam. Masz przecież zaufanie do mnie?

— Naturalnie! Odpowiem ci na wszystko — na to, na co mi odpowiedzieć wolno.

— Dobrze! Zacznijmy od najłatwiejszego pytania: cierpiałeś kiedykolwiek na reumatyzm lub artretyzm? Nie śmiej się, jest to bardzo ważne.

— Nigdy, — rzekł.

Nellie zapisała jego odpowiedź.

— Grasz tennisa lewą czy prawą ręką?

— Ależ Nellie, — zawołał, — co to ma znaczyć?

— Błagam cię, odpowiedz mi!

— Obydwiema rękami!

— Teraz kolej na twoją komodę o antabach z bronzu!

— Zkąd wiesz o niej?

— Nie pytaj o nic, tylko odpowiadaj! Górna szuflada zawsze jest zamknięta — nie pamiętasz, czy ją kiedy otwartą zastałaś?

Ryszard zamyślił się na chwilę.

— Nie, nie pamiętam, — rzekł.

Nellie zawahała się i westchnęła ciężko.

— Teraz najważniejsze pytanie, Ryszardzie! Chodzi o kobietę, która wczoraj po ciebie przyjechała — cicho — słuchaj i wierzaj mi, że nie gniewam się i nie jestem zazdrosną. Ale ona była u mnie! Czuje się bardzo nieszczęśliwą, bo stała się powodem twego uwięzienia!

I w krótkich słowach opowiedziała mu wszystkie szczegóły widzenia się z nieznajomą.

— Patrz, przysyła ci pieniądze i to, — dokończyła, podając mu banknoty i kartkę.

— Pieniądze! — zawołał Ryszard oburzony.

— Tak, na opłacenie adwokata! Przeczytaj tę kartkę... — prosiła Nellie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)